



www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

4

2017

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 22

HISZPANIA

WERTYKALNE MIASTO

str. 30

FILIPINY

AŻ POLEJE SIĘ KREW

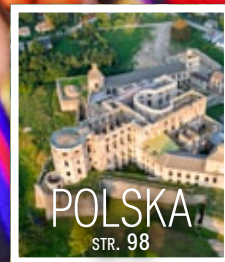
Indie ŁOWCY Z NAGALAND

str. 14

str. 38

ALBANIA

TAJEMNICA BŁĘKITNEGO OKA



POLSKA
STR. 98

BOLIWIA

STR. 46

SZEŚĆ TYSIĘCY DO ZDOBYCIA

ARMENIA

STR. 88

NAJSTARSZA WINIARNIA ŚWIATA

USA

STR. 66

MAGICZNY AUTOBUS

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



917700321614704 04

TRAVEL.

www.skleptravel.pl

- Torby i plecaki podróżne • Organizacja bagażu • Oświetlenie •
- Wyposażenie biwakowe • Żywność • Namioty i śpiwory •
- Odzież i obuwie specjalistyczne •



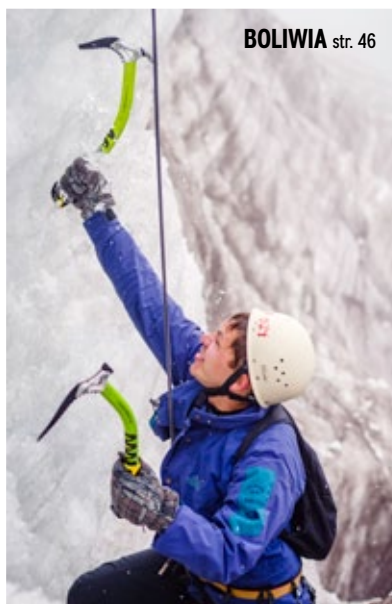
FILIPINY str. 30



HISZPANIA str. 22



ARMENIA str. 88



BOLIWIA str. 46



SZWAJCARIA str. 58

W NUMERZE...

FOTOFORUM str. 4
Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

INDIE str. 14
Z wizytą u łowców głów.
Dorota Wójcikowska,
Witold Palak

HISZPANIA str. 22
Benidorm to miasto
niebotycznych wieżowców
i piaszczystych plaż.
Marta Legieć

FILIPINY str. 30
Tu Wielki Tydzień obchodzi
się całkiem inaczej.
Tomasz Owsiany

ALBANIA str. 38
Dziewicza przyroda,
antyczne ruiny, nastrojowe
miasteczka, szerokie plaże
i smaczna kuchnia.
Marcin Kołpanowicz

BOLIWIA str. 46
Czy dwójka przeciętnych
górolazów ma
szanse w starciu
z sześciotysięcznikiem?
Elżbieta Adamska

GEOSKOP str. 52

PODRÓŻNOŚCI str. 56
Życie pozazimowe.
Felieton Magdaleny
Żelazowskiej

SZWAJCARIA str. 58
Koleje Retyckie będą
niebawem obchodzić
130 lat.
Elżbieta Pawełek

USA str. 66
Niezwykła historia pewnego
autobusu stojącego
w alaskańskiej gęszy.
Kamil Bodziony

NAVIGATOR str. 72

MIKROWYPRAWY str. 76
Zjeść las.
Felieton Łukasza
Długowskiego

RPA str. 78
Historia czarno-biała.
Piotr Porayski-Pomsta

POLSKA NIEZNANA str. 86
Wiosna jurajska.
Felieton Mikołaja
Gospodarka

POZNAJ ZWYCZAJ str. 88
Armenia. Najstarsza
winiarnia świata.
Marek Tomaszewski

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:
POLSKA str. 98
Mały Rzym i okolice.
Marek Sudół

**POZNAJ ŚWIAT
OD KUCHNI** str. 106

OUTDOOR str. 108

**POLSKA,
KTÓREJ NIE MA** str. 112



NA OKŁADCE:
łowcy z plemienia
Khamniungan,
Indie



Monika Mizera

INDONEZJA

Dziób w dziób

Do rodziny dzioborożców należy blisko 50 gatunków. Żyją w lasach i na otwartych przestrzeniach. Żywią się owocami, owadami i małymi kęgowcami. Czasem samica składa jaja w dziupli, a samiec zamurowuje ją wewnątrz, używając do tego celu błota i odchodów, które po zaschnięciu tworzą twardą pokrywę. Samicę i młode dokarmia przez niewielki otwór. Gdy w dziupli robi się ciasno, samica rozkuwa go, wydostaje się, po czym ponownie zamurowuje i wraz z samcem kontynuuje wykarmianie młodych.

Te dwa osobniki autorka zdjęcia uchwyciła na wyspie Bali, gdzie populacja tych ptaków bardzo spadła z powodu karczowania ich siedlisk. Dodatkowo ludzie polują na dzioborożce, ponieważ są dla niektórych przysmakiem.



MONDRAKER



NEVA 27.5"
OD 2 299,-



LEADER 29"
OD 3 099,-

RATY
20 x 0%



VANTAGE 27.5"
OD 3 599,-



FACTOR 27.5"
OD 7 599,-

WWW.7ANNA.PL

INFO@7ANNA.PL * 58 520 18 04 * GDAŃSK 80-215, RACIBORSKIEGO 123

Maciej Milewski

NIEMCY

Łuk Łaby

Łaba jest największą rzeką Czech i jedną z największych w Niemczech. Spełnia bardzo ważną rolę europejskiego szlaku komunikacyjno-transportowego. Po stronie niemieckiej płynie głęboką doliną przez Saską Szwajcarię. Zdjęcie zostało zrobione na platformie widokowej przed mostem w Bastei. W okolicy występują bardzo ciekawe formy geomorfologiczne – skały z piaskowca.



NEW FOR 2017
PARAGON & MAVEN



Ultralekki i wygodny plecak turystyczny. Innowacyjny system nośny AEROLON. System wentylacji MATRIX. Stabilny pas biodrowy zaopatrzoney w dwie kieszonki. Pokrowiec przeciwdeszczowy i plecak na akcesoria w zestawie (68L i 58L)



© SAM HOBSON, WIELKA BRYTANIA, „Ciekawski sąsiad”

Sam Hobson (Wielka Brytania)

WIELKA BRYTANIA

Wścibski sąsiad

Dzięki umiejętności przetrwania w bliskim sąsiedztwie ludzi oraz zwodzenia myśliwych lisy zyskały opinię przebiegłych i inteligentnych. Świetnie przystosowują się do okoliczności i potrafią doskonale radzić sobie na terenach miejskich. Ten przywykł do ludzi, bo niektórzy mieszkańcy regularnie go karmią.

KATEGORIA: W MIEŚCIE
SEKCJA: RÓŻNORODNOŚĆ ŚRODOWISK
FINALISTA

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2016, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT.
W DNIACH OD 7 KWIEŃNIA DO 7 MAJA 2017 WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W MIŃSKU MAZOWIECKIM W MUZEUM ZIEMI MIŃSKIEJ PRZY ULICY OKRZEI 16.
WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

KROSS
DWA KOŁA JEDNA PASJA

SHIMANO
STEPS

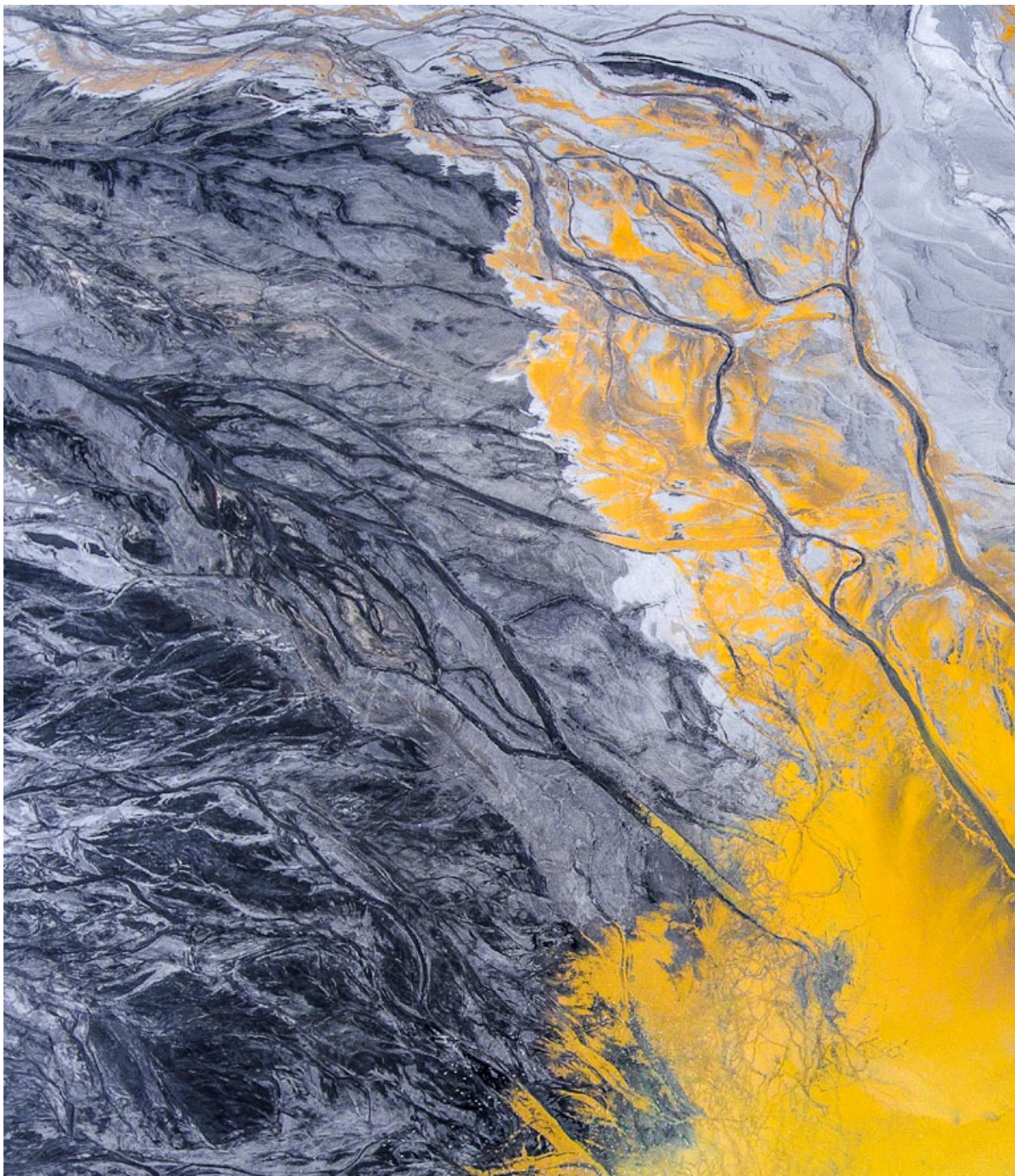
WŁĄCZ ROWER

ODKRYJ ROWERY KROSS Z ELEKTRYCZNYM WSPOMAGANIEM

Rowery elektryczne KROSS TRANS HYBRID
maksimum pasji, minimum zmęczenia

EBIKE

Projekt największej polskiej marki rowerowej
możesz kupić w ratach 30x0%
Wejdź w świat technologii przyszłości na
www.kross.pl





Mariusz Prusaczyk

POLSKA

Ładnie zanieczyściło

Zdjęcie przedstawia sztuczne jezioro industrialne używane do płukania wyrobisk kopalnianych. Kolor bierze się z minerałów, którymi nasycona jest woda, ale również z zanieczyszczeń. Kadr został uchwycony w okolicach Bełchatowa za pomocą drona. Zdjęcie jest jednym z pięciu zakwalifikowanych do finału konkursu Sony World Photography Awards 2017 w kategorii Świat Naturalny.

curioso.photography

Anna Krysztofiak-Gawryjołek

USA

Panorama w odcieniu dolara

Powstanie mostu Brooklińskiego w 1883 r. (po 13 latach ciężkiej pracy) miało ogromny i natychmiastowy wpływ na życie Nowego Jorku. Ułatwił on byt wielu mieszkańcom, którzy niegdyś z wielkim trudem przemierzali rzekę dzielącą zamieszkiwany przez nich Brooklyn i dający pracę Manhattan. Dziś mierzący 1834 m gigant to jedna z największych atrakcji i symbol Nowego Jorku. Stalowa sieć upleciona nad East River zachwyca każdego dnia tysiące przechodniów, a obraz lśniących w blasku zachodzącego słońca szmaragdowych kolosów z dzielnicy finansowej jest źródłem inspiracji dla wielu artystów. Poeta Walt Whitmann nazwał widok z Brooklyn Bridge najlepszym i najskuteczniejszym lekarstwem, jakiego zażyła jego dusza.





Prześlij zdjęcie!

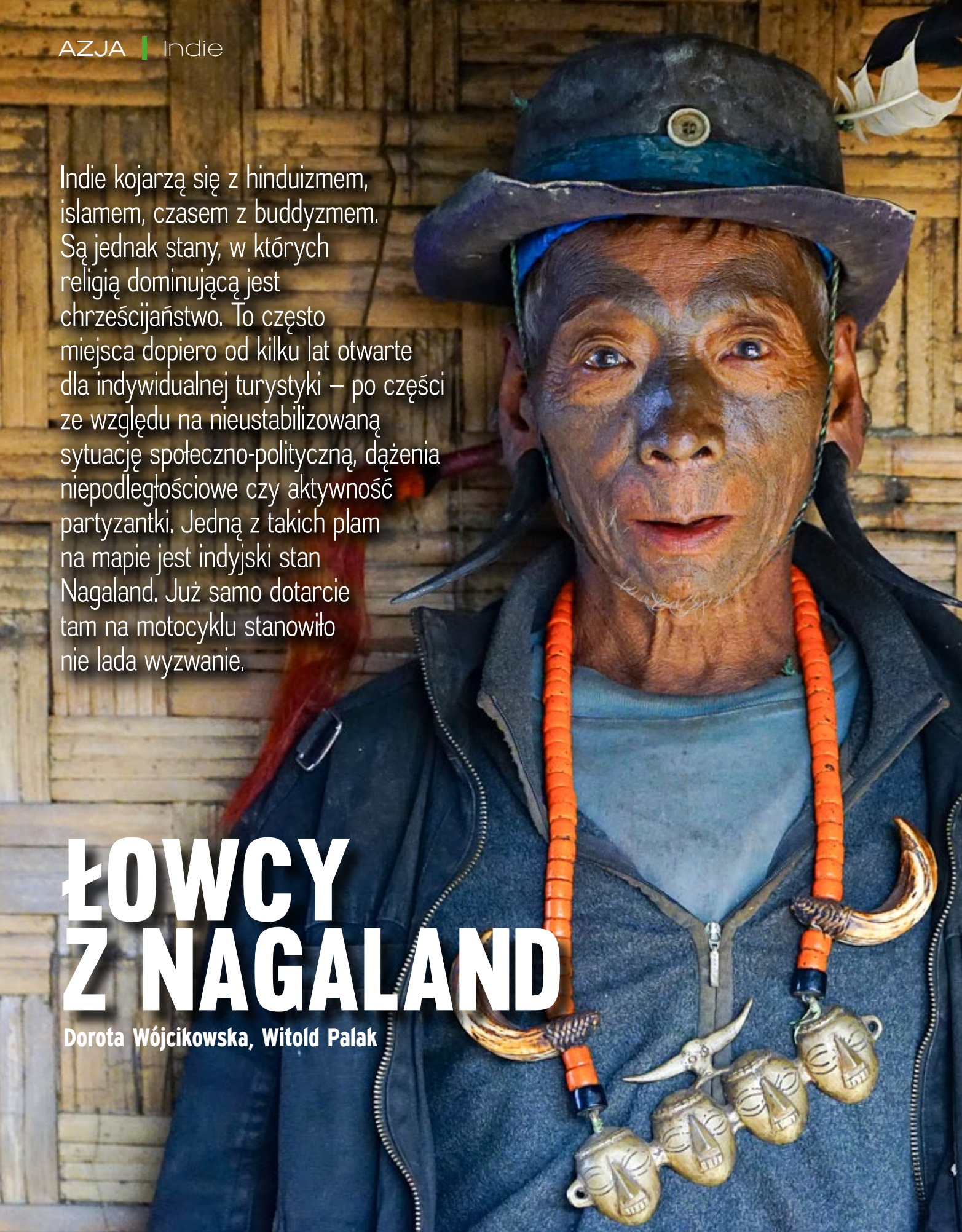
Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.



Indie kojarzą się z hinduizmem, islamem, czasem z buddyzmem. Są jednak stany, w których religią dominującą jest chrześcijaństwo. To często miejsca dopiero od kilku lat otwarte dla indywidualnej turystyki – po części ze względu na nieustabilizowaną sytuację społeczno-polityczną, dążenia niepodległościowe czy aktywność partyzantki. Jedną z takich plam na mapie jest indyjski stan Nagaland. Już samo dotarcie tam na motocyklu stanowiło nie lada wyzwanie.

ŁOWCY Z NAGALAND

Dorota Wójcikowska, Witold Palak



Nasza wiedza o zamieszkujących Nagaland ludziach sięga zaledwie 200 lat. To region nigdy nieujarzmiony, pominięty na szlaku podbojów kolejnych imperiów czy lokalnych władców. Owiany złą sławą, przekazywaną z ust do ust. Mało kto zapuszczał się w ten górzisty teren. Strzegł go swoisty immunitet – opinia o jego mieszkańcach jako o walecznych łowcach głów.

Brytyjczycy dotarli tu w XIX w. i zwrócili uwagę na znakomity klimat oraz możliwość uprawiania herbaty. Wzgórza Naga zostały anektowane przez nich w 1881 r. Potem, po uzyskaniu przez Indie niepodległości, Nagowie zostali niemal siłą nakłonieni do włączenia się do federacji, początkowo jako część Assamu, a od 1 grudnia 1963 r. – jako szesnasty stan Indii. Ale nigdy nie zrezygnowali z dążeń niepodległościowych. Trwająca 60 lat wojna partyzancka była najdłuższą w historii Indii. Kosztowała życie co najmniej 200 tys. ludzi. Dopiero w 2015 r. premier Narendra Modi podpisał traktat pokojowy z separatystami. Układ, który zawarto, ma dać Nagom większą autonomię i pomoc w rozwinięciu relacji handlowych z państwami Azji Wschodniej. Obecnie sytuacja w stanie jest na tyle spokojna i bezpieczna, że zawieszono (na okres próbny) obostrzenia i przepustki, otwarto jego granice.

NA EMERYTURZE

Jeden z ostatnich łowców głów z plemienia Konyak. Żyje w wiosce Longwa, choć już nie poluje.



DOMY CZASZEK

Nagaland to kraina o powierzchni dziewiętnastokrotnie mniejszej od Polski, zamieszкана przez 16 plemion. W odróżnieniu od innych społeczności, które najchętniej osiadały w dolinach w pobliżu dających życie rzek lub jezior, Nagowie zakładali swoje wsie na wzgórzach. Robili to ze względów strategicznych, bo takie osady pełniły również funkcje forteczne. W totalnej izolacji każde plemię wykształciło nie tylko odrębne tradycje, lecz także zupełnie odmienny język. Była jednak cecha wspólna... Otóż o ile w innych kulturach wystarczało zdobycie trofeum w postaci kła tygrysa lub lwa, rogów nosorożca czy dzikiego bawoła, aby zaświadczyć o odwadze i męskiej dojrzałości, o tyle wśród plemion Naga prawdziwa wartość mężczyzny była poznawana po liczbie zdobytych... ludzkich głów. Przy czym polowania



FOT. DOROTA WÓJCIKOWSKA | WITOLD PALAK

FOLKLOR POKOJOWY

Starszyzna plemienna podczas dziesięciodniowego Hornbill Festival w Kohimie. To okazja do zaprezentowania własnego folkloru oraz pokojowych spotkań z członkami innych, niegdyś wrogich szczepów.

na nie dotyczyć mogły, na przykład, po prostu sąsiedniego wzgórze zamieszkanego przez inne plemię. I nie chodziło wcale o efekt wojny o ziemię czy łupy. Żaden z młodzieńców nie mógł liczyć na przychyłność dziewczyny, jeśli nie rzucił jej pod nogi ludzkiej głowy. A najlepiej – kilku.

Większość wiosek miała swój własny „dom czaszek”, a każdy mężczyzna musiał dołożyć do tej „kolekcji” swoje trofeum. Mężczyzna, który nie miał na sumieniu choć jednej głowy, określany był jako „kobieta” lub „krowa”. Honor i uznanie swojej wioski zaskarbić można było jedynie poprzez dekapitację innego mężczyzny. Rzecz znamienita – obyczaj ten nie nosił najmniejszych znamion kanibalizmu.

Aby poznać zasady „łowieckie”, a także nauczyć się, jak żyć w plemiennej grupie, młodzi chłopcy mieszkali w specjalnej chacie, zwanej *morung*. Było to dormitorium dla niezonatych kandydatów na mężczyznę. Tam byli poddawani swoistej indoktrynacji, której istotą była

nauka obcinania głów. Po zdobyciu pierwszych trofeów uzyskiwali nie tylko uznanie wioski, lecz także świadectwo swojej odwagi w postaci tatuaży. Tatuaz na twarzy oznaczał, że mężczyzna uczestniczył w łowach, dodatkowy tatuaz na piersiach – że sam już zdobył ludzką głowę, natomiast tatuaz na twarzy, piersiach i szyi świadczył, że osobiście ściał i przyniósł do wioski więcej niż pięć głów!

Chata *morung* była też czymś w rodzaju domu kultury. To tu przekazywano chłopcom swoisty kodeks moralny, uczono praw oraz wskazywano, jak żyć w zgodzie z naturą. Znajdował się w niej również potężny drewniany bęben *kham*, wykonany z jednego pnia, czasem obciągnięty skórą mithuna. Bębiono podczas ważnych wydarzeń o charakterze społecznym, a także kiedy wzywano na wojnę z sąsiednim szczepem. Każdy *morung* był ozdobiony rzeźbami i trofeami łowieckimi: czaszkami bawolimi, jelenimi, niedźwiedzimi, no i naturalnie – ludzkimi.



FOT. DOROTA WÓJCZKOWSKA | WITOLD PALAK

GRZECHY PRZODKÓW

Dziadek tej uroczej dziewczynki, aby stać się prawdziwym mężczyzną, też ścinał...

KONIEC POLOWANIA

Polowania na głowy zostały zakazane już ponad 100 lat temu. Ostatni udokumentowany proceder łowiecki miał miejsce w 1979 r. w plemienu Konyak, ale istnieją pogłoski, że sporadyczne przypadki zdarzały się jeszcze niedawno. Ogromną rolę w odejściu od tej „tradycji” odegrali chrześcijańscy misjonarze, którzy w XIX w. dotarli do Nagaland. To oni, a nie administracja brytyjska, skłonili Nagów do zaprzestania dekapitacji i przyjęcia nowej religii. W chwili obecnej chrześcijaństwo, głównie baptызm, wyznaje 90 proc. ludności stanu. Najbardziej wojownicze plemię Konyak zaakceptowało egzotyczną i niezrozumiałą dla siebie wiarę zaledwie 50 lat temu i ciągle jeszcze znajduje się trochę na rozdrożu – pomiędzy chrześcijaństwem a swoją religią animistyczną.

Wjechaliśmy do Nagaland w terminie, który dawał nam szansę na przeżycie dwóch ceremonii. Pierwszą z nich był Hornbill Festival – najsłynniejsze w tym regionie Azji widowisko folklorystyczne, które trwa aż 10 dni. Festiwal

cieszy się taką popularnością, że wszystkie hotele, pensjonaty czy kwatery prywatne są zarezerwowane na kilka tygodni wcześniej. Rekomendowani przez naszych himalajskich przyjaciół, dotarliśmy do Amongła i Meren Paul – bogatych mieszczan i gorliwych baptystów, ludzi o wielkich sercach. Dzięki nim mieliśmy luksusowe warunki mieszkaniowe i mogliśmy wysłuchać historii o roli ich rodzimego plemienia Ao w krzewieniu tu chrześcijaństwa wiele lat temu.

Festiwal to jedyna możliwość spotkania wszystkich 16 plemion Naga w jednym, neutralnym miejscu (gdyby do takiego zjazdu doszło 100 lat temu, ścięte głowy wojowników spadałyby na ziemię nieustannie). Hornbill Festival jest więc szansą na pokojową konsolidację niegdyś wrogich sobie społeczeństw, a także unikalną okazją do podziwiania tradycyjnych strojów, tańców i obrzędów poszczególnych plemion.

Niewielka wioska Kisama, 10 km od miasta Kohima – stolicy stanu, na czas festiwalu zamienia się w turystyczno-folklorystyczną



FOT. DOROTA WÓJCZKOWSKA | WITOLD PALAK

POZNAJ ŚWIAT NA KONCU ŚWIATA

Na trasie przez dżunglę, z Kohimy do Mon Town – postój przed wioską Longleng. Na pierwszym planie dzielny Royal Enfield z zieloną naklejką miesięcznika Poznaj Świat.



FOT. DOROTA WOLKOWSKA / WITOLD PALAK

NON-VEGE
Przygotowania
do świątecznej uczy
w wiosce Mon.

osadę, która tętni życiem i muzyką. Od rana do zmierzchu artyści amatorzy przedstawiają fragmenty z życia swoich klanów. Można też skosztować tradycyjnej kuchni, bo każde z plemion zaprasza chętnych do swojego *morung*, który tym razem pełni rolę niemal klubu i restauracji.

FAJKA Z KRÓLEM

Po nasyceniu oczu kolorami strojów wojowników udaliśmy się w okolice miasteczka Mon, najciekawszego pod względem etnicznym miejsca w Nagaland. Zamieszkane jest przez okryte sławą plemię Konyak. Aby dotrzeć tam z Kohimy, turyści najczęściej korzystają ze 150-kilometrowego objazdu prowadzącego przez Assam. My, za radą lokalnych przyjaciół, wybraliśmy drogę na skróty, przez Mokokchung i Longleng. Były to trzy dni jazdy po bezdrożach, czasami środkiem dżungli – niezły test wytrzymałości dla naszego Royal Enfielda.

Mon przywitało nas przedświąteczną atmosferą, a także wyjątkową gościnnością inżyniera Tali Temsu Jamira. Dzięki niemu mieliśmy możliwość dotarcia do miejsc i domów, gdzie obcy nie mają na ogół wstępu. Razem

z Talim dotarliśmy do wioski Longwa, 42 km od Mon. Rozległa osada, poza mieszkającymi w niej jeszcze prawdziwymi łowcami głów, przyciąga turystów niecodziennym statusem terytorialnym. Przed laty zamieszkujące okoliczne wzgórze plemię zostało dekretem podzielone pomiędzy Indie i Birmę (obecnie Mjanma). Droga, która prowadzi przez wieś, jest w niektórych miejscach granicą państw. Po jednej stronie stoją birmańskie domy – kilka metrów w bok, na ubogich bambusowych sklepikach, widnieją hinduskie napisy. Władzę w wiosce sprawuje *angh* – król, w którego domu sypialnie znajdują się w jednym kraju, a jadalnia w drugim. Dwuspadowy, pokryty suchymi liśćmi dach ogromnej drewnianej chaty także należy do dwóch państw!

Poprzedni król Aluh Ngowang, zmarły w 2015 r., słynął z 60 żon! Jego syn ma skromniejsze wymagania, ale zaniedbuje podległy mu lud przez swoje „hobby”, jakim jest opium. Narkotyk ten, przywieziony tu przez Brytyjczyków, jest poważnym problemem mieszkańców Nagaland, zwłaszcza plemienia Konyak. Nasz przyjaciel Tali Temsu Jamir znany jest w okolicy ze względu na swoją wysoką pozycję zawodową i cieszy się dużym uznaniem tubylców (choć jest przedstawicielem innego



plemienia). To on nie dość, że umożliwił nam sfotografowanie wytatuowanych łowców, to jeszcze załatwił audiencję u króla. Polegała ona głównie na uczestnictwie w ceremonii przygotowania opium, a następnie wspólnym wypaleniu fajki. Ogień do niej podawał osobiście sam król!

Dzięki Talemu uczestniczyliśmy także w specyficznym wydarzeniu, jakim jest tu zbiorowe łowienie ryb. Jest to okazja do wzmocnienia więzi pomiędzy poszczególnymi członkami społeczności. Impreza odbywa się tylko raz w roku. Tym razem polowanie na ryby urządziła wioska Zakho. Jej król o imieniu Wangto, właściciel pięknych tatuaży, zaprosił nas nie tylko do wzięcia udziału w wydarzeniu, ale także na posiłek po rybobraniu. Najpierw jednak dwie godziny przedzieraliśmy się przez zarośla oraz niezliczoną ilość razy trawersowaliśmy koryto rzeki Tekang, aby dojść do miejsca, gdzie mieszkańcy czatowali po obu jej stronach. W tym czasie kilku mężczyzn powędrowało w górę rzeki i celowo zanieczyściło wodę rozłupanymi gałęziami oraz owocami drzewa *zujhai*. Sok z drewnianej miazgi zabarwił wodę na brązowo, a zawarta w nim trucizna spowodowała chwilowe uśnięcie ryb.

Po kolana w rzece, razem z dziesiątkami tubylców przeczesywaliśmy mętną wodę i co jakiś czas wychwytywaliśmy z niej ryby przeróżnej wielkości. Większe, które wyglądem przypominały piskorze, młodzieńcy rozcinali jednym ciosem ostrej maczety. Tłumaczyli, że ryba jest zbyt śliska, aby ją chwycić rękami i wyjąć z bystrej wody. Dzieci brodziły tuż przy brzegu i penetrowały dno przy pomocy bambusowych koszyczków o lejkowatych kształtach. Niektóre z kobiet niosły swoje maluchy przmocowane do pleców chustami. Spory tłum poruszał się w dół rzeki, aż w końcu zatrzymał się przy jednym z brzegów. Czekały tam już rozpalone ogniska oraz ławy i stoły. Część ryb została szybko wypatroszona

IMPREZA INTEGRACYJNA

Raz w roku wszyscy razem łowią ryby. To stara tradycja wzmacniająca więzi plemienia Konyak. Tym razem w wiosce Zakho.

FAJKA POKOJU, KTÓRA MOŻE UZALEŻNIĆ

Angh – król wioski Longwa podaje żar do fajki nabitej opium. Zawartość trochę kontrowersyjna, ale wspólne popalenie to tradycyjny, nie tylko w tej części świata, gest wzajemnej życzliwości.





FOT. DOROTA WOJCIKOWSKA / WITOLD PALAK

EKOŚWIĘTA

Boże Narodzenie ze sztuczną choinką, tyle że wykonaną z plastikowych butelek.

PAWIE Z ANGAMI

Zdjęcie z reprezentantami plemienia Angami. Są kolorowi i udekorowani niczym pawie, a można ich zobaczyć w czasie festiwalu folkloru lub miejscowych dożynek.

i wrzucona do metalowych garnków. Po kilkunastu minutach ich zawartość wylądowała na bambusowych liściach, które pełniły funkcję talerzy. Można było rozpocząć ucztę.

ŚWIĘTA NAWRÓCONYCH

Czas płynął nieubłaganie. Na Boże Narodzenie wracaliśmy do Mon Town. Każda mijana wioska była udekorowana choinkami zrobionymi z liści palmowych i krzewami obłożonymi watą lub pochłapanymi białą farbą

imitującą śnieg. Tali Temsu Jamir wyjechał do swojej rodziny w Kohimie, i zostaliśmy sami w jego drewnianym, historycznym domu. Jako jedyni biali, ubrani w stroje motocyklowe, dotarliśmy do Konyak Catholic Church na pasterkę (tutaj odprawianą o 16.00). Wygląd upodabniał nas trochę do kosmitów, którzy wylądowali pomiędzy wiernymi, na tę uroczystość opatulonymi w swoje potężne szale tkane w tradycyjne wzory.

Najważniejszym dniem świętowania jest dla Nagów 25 grudnia. Wtedy to udaliśmy



FOT. DOROTA WOJCIKOWSKA / WITOLD PALAK



FOT. DOROTA WÓJCIKOWSKA, WITOLD PALAK

się do Mon Village, gdzie odbywała się msza w kościele baptystów. Po radosnym, pełnym śpiewów nabożeństwie zostaliśmy zaproszeni przez pastora na uroczysty posiłek, urządany przez jedną z szanowanych rodzin. Wśród honorowych gości był m.in. minister w stanie spoczynku, toteż dookoła biesiadnego obojścia stało kilku żołnierzy z karabinami. Na ogniskach gotowała się tradycyjna stawa, a gotowe już potrawy zdołały suto zastawiony stół. Królowały bulwy pochryznu, zwanego tu *yam*, przygotowane na różne sposoby. Wzrok

przyciągały: pokrojona w grube plastry wołowina, wieprzowina w sosie z dodatkiem *anishi* – pasty z wędzonych liści pochryznu, porąbane wraz z kośćmi kawałki kurczaka z dodatkiem młodych fermentowanych pędów bambusa, suszone, wędzone i gotowane ryby, parzone liście musztardowca oraz kapusty, różne gatunki ryżu. Całości dopełniały smakołyki w postaci *chutney* – gęstego sosu z pomidorów, cebuli i papryczek, a także pasta z *raja mircha* – najostrejszej papryki chilli na świecie. Dla wyjątkowych koneserów były pieczone i przyrządzane w aromatycznym sosie larwy jedwabników, mięso psa i najdroższy delikates – larwy szerszeni!

Obok drewnianych chat, pokrytych suszonymi liśćmi, stały zaparkowane eleganckie suvy. Pomiędzy gośćmi ubranymi nowoczesnie w garnitury przemieszczały się tradycyjnie odziane kobiety. Pod jedną ze ścian zauważyliśmy kilku starszych przedstawicieli męskiej społeczności, z głowami przystrojonymi w pióra tukana, uszami przekłutymi i udekorowanymi kłami dzika oraz wytatuowanymi twarzami. Widok emerytowanych łowców głów budził zaciekawienie, ale już nie strach. ○



**Dorota Wójcikowska,
Witold Palak**

Ona – z wykształcenia ekonomistka. Niepoprawna optymistka, która umie podejmować ryzyko. Zrezygnowała z kariery i ustawiła ster życia na poznawanie świata. On – z wykształcenia psycholog, z zawodu przedsiębiorca, z racji dokońcań życiowych – nieustanny poszukiwacz. Mieszkał w Australii, USA, Nepalu i Indiach. Od 2012 r. ma motocyklowe prawo jazdy i podróżuje tylko tam, gdzie można poruszać się na jednoślądzie. Oboje od 3 lat razem tropią i dokumentują kultury, które powoli odchodzą do przeszłości.

MÓJ PRZYJACIEL ŁOWCA

Z przyjacielską wizytą u wojowników Konyak – kiedyś najgroźniejszych i słynących z bezwzględności.



FOT. DOROTA WÓJCIKOWSKA, WITOLD PALAK

EUROPA | Hiszpania

WERTYKALNE MIASTO

Marta Legieć





Wieżowce dotykają chmur niczym w Miami, a może nawet w Nowym Jorku. Z jednej strony przyklejone do plaży, z drugiej ocierają się o góry. Benidorm nie wygląda jak typowa turystyczna miejscowość, przynajmniej nie na pierwszy rzut oka.

Podnoszę głowę i zerkam w górę. Budynek jest naprawdę wysoki – mierzący 186 m Gran Hotel Bali to najwyższy hotel w całej Europie. Przez ogromne szklane drzwi wchodzę do środka. Mam zamiar wjechać na samą górę, na dach, bo wiem, że stamtąd roztaczają się niepowtarzalne widoki na wybrzeże Costa Blanca, złocące się w słońcu klify, szerokie, upstrzone ludźmi plaże i urocze skaliste zatoczki z kryształiczną, turkusową wodą.

Zanim jednak dopcham się do windy, muszę przedrzeć się przez szpaler uczestników rozgrywających się właśnie zawodów w biegu po schodach. Śmiałkowie, wśród których są też Polacy, do pokonania mają 52 piętra i 924 stopnie. Podziwiam ich kondycję, jednak nie rezygnuję z wjechania windą na szczyt grafitowego budynku. Moment i jestem na

z najsłynniejszych plaż w Europie, z niebiesko-białymi leżakami. Podobno jest ich 4600. Moim zdaniem – znacznie więcej.

NA DANCING I NA DISCO

Jeśli wierzyć przewodnikom, region Costa Blanca nie jest tak licznie odwiedzany przez turystów jak Barcelona, Costa Brava czy Wyspy Kanaryjskie, dzięki czemu oferuje wypoczynek w bardziej kameralnej atmosferze. Trudno mi w to uwierzyć. Spaceruję długim deptakiem, jest wiosna, a między ludźmi trzeba się wręcz przeciskać.

Benidorm jest pełen wczasowiczów w każdym wieku, choć najbardziej rzucają się w oczy ludzie starsi, w większości na emeryturze, oraz bardzo młodzi. Pierwsi przyjeżdżają do kurortu ze względu na atrakcyjne ceny i zniżki,



FOT. MARTA LEGIEC

PION Z POZIOMU 52.
Gąszcz wieżowców nad piękną plażą w malowniczej zatoce. Z tarasu na 52. piętrze Gran Hotel Bali szczegółów nie widać, panorama jest jednak urzekająca.

górze. Na dachu zastaję wszystko, czego oczekiwałam. Wspaniała panorama, która niczym nie przypomina tego, co znam z innych europejskich kurortów. W żadnym nie widziałam tyłu strzelających w górę wieżowców. Proste, raczej bez zbędnych udrziwnień. Stoją obok siebie niczym klocki Lego, na tle malowniczej zatoki zamkniętej skałami. Całość wygląda jak dobra mieszanka Dubaju, Las Vegas i Dominikany. Jak na dłoni widać też Levante, jedną

jakię im się tutaj oferuje. Najliczniejszą grupę tworzą seniorzy z Wielkiej Brytanii. Pod ich gustu dostosowano jedzenie. Łatwo znaleźć bary, w których króluje bekon, tosty i fasolka, nawet *fish and chips*. Oczywiście nie brakuje tradycyjnych *tapas* i wykwintnych restauracji serwujących owoce morza. Przed hotelami parkują komfortowe, czterokołowe wózki elektryczne z koszykiem na zakupy, którymi można się poruszać po mieście. Czasami mam

wrażenie, że jest ich więcej niż rowerów. Seniorzy są wszędzie. Na plażach poustawiano dla nich place rekreacyjne z urządzeniami do ćwiczeń.

Dla równowagi miasto jest pełne także młodych wielbicieli zabawy. I ci mają tu swój raj. Kiedy starsi opuszczają teren i udają się na wieczorne potańcówki, małolaty wypełniają restauracje i kluby tętniące muzyką do białego rana. Dosłownie. Impreza, szczególnie w lokalach przy plażach, trwa zwykle do świtu kolejnego dnia. Grające głośną muzykę przybytki codziennie są pełne ludzi. Przez ulicę, na której znajdują się wyłącznie bary *tapas*, przed północą nie sposób się przecisnąć. Później tłok nieco ustępuje, choć i tak trudno mówić o pustkach. Kiedy doświadczam tego na własnej skórze, nie dziwię się, że według ankiety przeprowadzonej przez sunshine.co.uk



patrzę na archiwalne zdjęcia z lat 50. ubiegłego wieku, ze zdziwienia przecieram oczy. Piękna plaża, góry i pustka po horyzont. Jednak ten raj na ziemi szybko zaczął zmieniać



Benidorm to ulubione miejsce, jakie wskazują Brytyjczycy, którzy planują wieczór paniński lub kawalerski.

JULIO W BENIJORKU

Benidorm zadziwia. Głównie dlatego, że w krótkim czasie z niewielkiej osady, a raczej rybackiej wsi, przestoczył się w popularną miejscowość wypoczynkową. Kiedy

oblicze. Na porośniętych trawą wydmach wkrótce miał stanąć tętniący życiem kurort.

Jeszcze w latach 50., kiedy Hiszpania zaczęła stawać się turystyczną potęgą, w nadmorskiej miejscowości dostrzeżono potencjał. Plan zagospodarowania uwzględnił stworzenie dobrze zaprojektowanych ulic i szerokich alej, nieburzących naturalnego kształtu plaż. Był jednak problem – zbliżone do morza góry nie pozwalały rozrastać się miastu tak,

ZŁOTO BIAŁEGO WYBRZEŻA

Kilometry złocistego piasku. Szczególnie warte uwagi są plaże Levante i La Poniente, które są uznawane za jedne z ładniejszych na całym Costa Blanca.



PLĄZOWICZKI Z KARAIBÓW

Popularność Benidormu wciąż rośnie. Na promenadzie z hałaśliwymi baremi można spotkać wczasowiczów nawet z dalekiej Jamajki.

jak to się zazwyczaj dzieje. Benidorm zaczął więc piąć się w górę. Międzynarodowe statystyki podają, że miejscowość zajmuje drugie po Manhattanie miejsce na świecie

pod względem liczby drapaczy chmur przypadających na 1 km² powierzchni i pierwsze w przeliczeniu na jednego mieszkańca! Nie dziwi więc, że nazywany bywa często Nowym Jorkiem Morza Śródziemnego, albo w skrócie BeniJorkiem.

Kurort od początku był więc oryginalny. Ale było coś jeszcze – tutejszy burmistrz Pedro Zaragoza Orts był pierwszym w Hiszpanii, który zezwolił paniom na pojawianie się na plaży w bikini. Prawdziwa obyczajowa rewolucja! Strzałem w dziesiątkę, jeśli chodzi o promocję miasta, był też festiwal, na którym brylował Julio Iglesias. Później poszło już z górki. W drugiej połowie lat 60. zaczęli pracować w Benidormie pierwsi brytyjscy touroperatorzy. Są tu do dziś. W sumie miasto odwiedza 3–4 mln gości rocznie. Jeśli chodzi o Hiszpanię, więcej przyjeżdża tylko do Barcelony i Madrytu.

DRINK Z I POD PALEMKĄ

Od wczesnej wiosny plaże zapełniają się turystami. Słońce, szumiące palmy i sprzedawcy kolorowych drinków kuszą, by wygodnie rozłożyć się na niebieskich leżakach.



PIASEK, WODA, WINO

Słońce i złoty piasek to wciąż najlepsze produkty proponowane przez Benidorm. W konkursie na najbardziej wyjątkowe plaże

na świecie portal podróżniczy Trip Advisor wielokrotnie wyróżniał właśnie tutejsze kąpieliska – czyste, z drobnym, złotym piaskiem i przezroczystą wodą. W zestawieniu przygotowanym na podstawie milionów recenzji użytkowników ze wszystkich kontynentów Benidorm znajdowało się w pierwszej piątce. Trudno się temu dziwić, plaże są szerokie i zadbane, od 1987 r. nagradzane tzw. błękitną flagą – znakiem najwyższej jakości przyznawanym kąpieliskom przez Unię Europejską.

Jest też w czym wybierać. Na północnym krańcu miasta usadowiły się dwie niewielkie piaszczyste i kamienne zatoki, idealne dla wielbicieli nurkowania i samotnych kąpiei. Za nimi rozpoczyna się gwarna nadmorska promenada popularnej Playa de Levante, która tętni życiem przez cały rok. Na południe od portu leży Playa de Poniente, mocno współzawodnicząca pod względem urody i usług z poprzedniczką. Pomiędzy nimi, na odcinku przylegającym do starego miasta i osłonięta wzniesieniem Canfali, mieści się zatoka Mal Pas, a naprzeciw niej – niewielka wyspa, kolejny raj dla miłośników nurkowania. Wiele sloganów głosi, że to „oaza spokoju” i „miejsce ucieczki przed gwarem miasta”, choć spokój mogą tu zakłócać skrzeczące mewy, petrele i pawie.

Jest też malowniczy kamienisty cypel Punta Canfali, serce dawnej osady. Tu przed wiekami biło tętno Benidormu, gdy Maurowie zakładali twierdzę będącą świetnym punktem obserwacyjnym. Jest co zwiedzać i gdzie wypoczywać, jednak komu znudzi się leżenie plackiem na plaży, może wypożyczyć rower elektryczny i odwiedzić wzniesienia Narodowego Parku Sierra Helada albo wyruszyć na zwiedzanie kurortu na segwayu. Jednak lepiej nabrać wprawy, zanim wyjedzie się na popularne miejskie ścieżki.

Można też pojechać dalej, za miasto. Ja tak zrobiłam, bo skoro trafiłam do Hiszpanii, musiałam przecież spróbować lokalnego wina. W pobliżu Benidormu nie brakuje winnic. Jedną z ciekawszych jest ta prowadzona przez rodzinę Enrique Mendozy. Leży w niedalekim L'Alfas del Pi. Warto się tu wybrać nie tylko na degustację w towarzystwie przesympatycznego właściciela, ale przede wszystkim na fascynującą opowieść o powstawaniu wina.



WĘDRÓWKA PRZEZ KONTYNETY

Nie mam pojęcia, dlaczego wydawało mi się, że kiedy zejdę ze ścieżek wydeptanych przez plażowiczów, zaznam nieco spokoju. Kiedy trafiłam do Mundomar, rzeczywistość szybko przywołała mnie do pionu. Jednak co tam tłum, jeśli pozwolono mi tu bawić się z dzikimi zwierzętami i samodzielnie je karmić. Nigdy wcześniej nie miałam możliwości wejścia do klatki z dzikimi, choć w pewien sposób oswojonymi lemurami, oczywiście pod okiem ich opiekunów.

KARMIEŃ DZIKICH ZWIERZĄT

W Mundomar każdy chętnie zamyka się w klatce z dzikimi zwierzętami. Karmienie tych maluchów to frajda i przygoda, którą wspomina się długie lata.



FOT. MARTA LECCO

Mundomar jest rajem pełnym małych historii, a głównymi bohaterami są zwierzęta. To niezwykle ogród zoologiczny, najbardziej popularny tego typu w Hiszpanii. Można tu miło spędzić czas wśród zwierząt i zagłębić się w ich niesamowity świat. Park bowiem stworzono tak, by bawił i uczył, dostarczał wielu okazji do poznania ciekawostek na temat lemurów, flamingów, żółwi, łabędzi, wydr. Wiele tu zwierząt morskich, przede wszystkim ulubionych przez turystów fok i delfinów.

Kto chce, może też pływać z lwami morskimi lub delfinami, wymaga to jednak wcześniejszej rezerwacji i ustalenia terminu, szczególnie jeśli chodzi o prowadzoną tu terapię z delfinami. Dzieci nie powinny opuścić specjalnych pokazów z uchatkami. Jest zabawa i są emocje. Serwuje je również sąsiednia Aqualandia, która pozwala wyszaleć się na wszelkiego rodzaju wodnych zjeżdżalniach i basenach.

W Benidormie znajduje się pięć różnych parków rozrywki dla rodzin z dziećmi i nie tylko. To najwięcej w regionie Morza Śródziemnego. Nieco spokoju odnalazłam w kolejnym z nich, mniej zatłoczonym i mniej komercyjnym. Bo choć misją Terra Natura, tak jak w Mundomar, jest edukacja i rozbudzanie w odwiedzających miłości do przyrody, tu zwierzęta żyją w środowisku bardzo

zbliżonym do naturalnego. Wprawdzie teren, na jakim mieszkają, znacznie ogranicza odwiedzającym możliwość zbliżenia się do nich, jednak one same czują się na pewno dużo swobodniej.

Na powierzchni 320 tys. m² wydzielono cztery tematyczne obszary: Pangea, Ameryka, Azja oraz Europa. Dzięki temu spacer po parku staje się szybką podróżą przez kontynenty, z możliwością podziwiania

BALKON ŚRÓDZIEMNOMORZA

Tak jest nazywany punkt widokowy w miejscu dawnej twierdzy Maurów, znany również jako *mirador de Benidorm*. Zakochani robią tu sobie zdjęcia, a seniorzy wpatrują w sterczącą 2 km od brzegu wyspę.





WIĘCEJ SMAKU

Paella w wersji maxi. Smakuje tak dobrze, jak wygląda. Restauracji i barów, w których można dobrze zjeść, jest tu bez liku.

ponad 1500 zwierząt (200 gatunków) i wspaniałą okazją do poznania ich sekretów. Są słonie, nosorożce indyjskie, które wyglądają jak prehistoryczne stworzenia, tygrysy z Sumatry i niezliczone gatunki ptaków – papug, tukanów, ibisów. Pewnie miałam dużo szczęścia, że i tutaj, oczywiście pod okiem opiekunów zwierząt, udało mi się poczęstować jabłkiem słonia, a nawet podrapać po nosie nosorożca. Takie rzeczy tylko w BeniJorku! ◯



Wygodny dostęp do prasy na telefonie i tablecie



Zainstaluj aplikację **Publico24**, włącz Bluetooth na swoim urządzeniu i ciesz się bezpłatnym dostępem do prasy

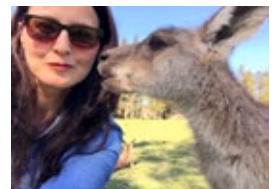
Aplikacja dostępna w:



Uruchom Bluetooth, by korzystać z darmowych treści w wybranych miejscach*



R E K L A M A



Marta Legieć

Z wykształcenia geograf, z zawodu dziennikarka, z zamiłowania fotograf. Nieprzerwanie poszukuje ciekawych miejsc, o których pisze na łamach magazynów lifestyle'owych i podróżniczych. Z równą ciekawością odkrywa Tokio i Suwałki. Wielbicielka dobrej kuchni i Gdańska, w którym mieszka.

U STÓP POKUTY

Danilo Ramos jako dobry łotr, przybijany do krzyża dwudziesty siódmy rok z rządu. Przebijanie wrażliwych stóp to jeden z najbardziej bolesnych momentów pokuty.



AŻ POLEJE SIĘ KREW

Tomasz Owsiany

Gdy patrzymy na zakrwawione sylwetki filipińskich biczowników oraz na ochotników przybijanych do krzyża, widzimy niezrozumiałe szaleństwo. Od lat w wielkanocnych rubrykach, gdzieś między orędziem papieża a raportem drogówki. Tłumaczymy je sobie na skrót – tym, że kraj egzotyczny, a ludzie poczciwi i otumanieni. Tymczasem pozory znowu mylą.

Półnagie postacie o zasłoniętych twarzach i poharatanych plecach pojawiają się już na początku Wielkiego Tygodnia. Przede wszystkim w San Fernando i sąsiednim Angeles, sercu prowincji Pampanga. Nazywają ich *magdarame*, współodczuwający. Przeważają biczownicy. Są też inni, dźwigający ciężki krzyż na ramionach. Z rzadka tacy, którzy czołgają się po drodze. Teoretycznie spełniają w ten sposób swoją *panatę*, ofiarę w konkretnej intencji. Część idzie pojedynczo, w asyście rodziny. Częściej jednak maszerują grupą. Mieszają się z nowoczesnymi samochodami i motorami, jak przebłysk z epoki stosów i kazamat. Ściągają na kościelne dziedzince, również ten przed katedrą w San Fernando, naprzeciw ratusza. Postronni ze spokojem tolerują lekki korek i mówią ze zrozumieniem o drastycznej pokucie. Częściej słychać wyrazy żalu do Kościoła, że odrzuca tradycję płynącą od ludu.

Oficjalnie Kościół katolicki jest przeciwny krwawym praktykom, jednak nie zamyka przed nikim bram. Wobec wszelkiej inności Filipińczycy wykształcili w sobie mieszkankę otwartości, akceptacji i obojętności. Zamykanie drzwi nie leży w filipińskiej naturze. I dlatego też w tym silnie chrześcijańskim kraju konstytucja uznaje trzecią pleć, a transwestyci pomagają przy próbach inscenizacji Męki Pańskiej.

W Wielki Czwartek w Angeles grupka przypadkowo poznanych mężczyzn od rana pije piwo przed domem na skraju ulicy. Wśród nich strażak, pracownik banku i kierowca. Czekają, aż trunek podniesie im dostatecznie ciśnienie. Wtedy zaczną krwawą chłostę. Dan, gospodarz domu, będzie się modlił w ten sposób o zdrowie dla synka Teddiego. Pokazuje swój bicz zwany *burilyo*. Bardzo osobisty, bo odziedziczony po ojcu. Elastyczna rękojeść ze splecionego materiału jest miła w dotyku. Trzynaście bambusowych pręcików na oddzielnym sznureczku klekocze cicho przy każdym ruchu – jak zabawka do zawieszania nad niemowlęcym łóżeczkiem.

SZEŚĆ RZĘDÓW PO PIĘĆ

Uliczna asceza w Pampandze była od zawsze domeną niższych warstw. Klasa średnia uczestniczy tylko biernie. Sporo młodzieży, która żyje coraz bardziej po amerykańsku, wielkopostne pochody w ogóle jej nie interesują – tak przynajmniej twierdzi w zdawkowych rozmowach. Młodzi wciąż jednak przeważają w orszaku. Rytm ich kroków zgrywa się z regularnymi, wilgotnymi odgłosami smagania. W lewo, plask! W prawo, plask! Co pewien czas przystają, klękają, kładą się na asfalcie i dotykają czołem ziemi.



CHEŁOSTA RADOSNA

Młodzi *mamalapas*, czyli biczownicy, w dzielnicy Lourdes West w mieście Angeles. Często słychać opinie, że kieruje nimi głównie chęć zachowania tradycji, dołączenia do dzielnicowej kompanii lub dorównania starszym kolegom.



że biczowało się za młodu wyłącznie z chęci dorównania starszym kolegom. Pochód trwa, miejscowi i przyjezdni obserwują. Kręcą filmiki komórkami, podjadają uliczne przekąski. Ktoś na murze namalował krwią inicjały i serduszko. Czerwone kropki są już na dziecięcych buziach, na parasolach, słupach. Wszędzie. A w powietrzu unosi się zapach pieczonych podrobów, mięsa i bulionu.

Wreszcie moi towarzysze zdejmują koszulki i rozpoczynają chłostę przygotowawczą. Skóra musi dobrze najść krwią, zanim się ją otworzy. – *Tutaj potną tatusia* – mówi Teddy, wskazując zaśmiecony trawnik w cieniu rozłożystych akacji. Pierwsze pochylone plecy czekają już posłusznie, a cyrulik bierze żyłkę i zaczyna. Sześć rzędów po pięć. Z wąziutkich ranek od razu wypływają pękate krople krwi. Czasem ktoś syknie, ale ból znoszą po cichu. Część jeszcze wróci na papieroska albo zdzieli kumpla różgą dla żartów. Dan chyba jako jedyny z całej grupy celebryje ten akt. Już do końca dnia pozostanie wyczyszony.

Dzieci z przydrożnych straganów podają im wodę do picia, nieraz całą butlę, żeby oblać głowę i plecy.

Niektórzy oglądają się, czy idą kumple, i nieco nonszalanckim krokiem zmierzają w stronę kaplicy. Wmaszerował też oddział chłopaków w bojówkach moro. Każdy z modną fryzurą. Jeden odsłonił nawet twarz. Uśmiecha się do kogoś z tłumu i pokazuje kciukiem, że jest OK. Wielu dorosłych przyznaje,



FOT. J. W. SZ. OLSZAK

PONCJUSZ PIŁAT ZE SMARTFONEM

W Wielką Środę uczestniczę w próbie aktorów odgrywających Drogę Krzyżową. W San Fernando trzydzielne wystawiają oddzielne spektakle i toczy się między nimi dyskretna konkurencja. W San Pedro Cutud, gdzie króluje Ruben Enaje, odbywa się największy turystyczny spód: są zbliżenia poszczególnych scen na telebimach i najazdy kamer na gwoździe. Do cierpiących ciał pokutników przyczepia się mikroporty, żeby nagłaśniać jęki bólu. Całością dyryguje stadionowy wodzirej. Tutaj, w St. Lucia, wszystko przebiega spokojniej.

Richmond, młodziutki reżyser, odpowiedzialny tego roku za *Via Crucis*, jest przejęty zadaniem. Otuchy dodaje mu fakt, że aktorzy mają już niejedną Pasję za sobą, a wszystkie kwestie są puszczane za taśmy. Richmond podkreśla siłę teatru i przypomina, że procesje wprowadzone przez Kościół są również formą spektaklu. Tyle że na początku lat 60. w San Fernando postanowiono dodać im

realizmu. Sceny sprzed dwóch tysięcy lat miały prawdziwie ożyć. – *Ludzie będą ocierać tzy i głęboko przeżywać naszą grę* – zapewnia.

Chciałem zapytać, czy faktycznie wierzy w duchowe oddziaływanie sztuki wśród straganów z napojami, ale właśnie w tej chwili w golfie z logo China Bank i ze smartfonem w ręku wszedł Poncjusz Piłat. Krótco po nim zjawił się też Danilo Ramos, jeden z trzech Chrystusów, którzy w upale będą nieśli na zmianę ciężki krzyż. W ostatniej scenie wcielią się odpowiednio w samego Mesjasza oraz dobrego i złego łotra. Danilo będzie tym dobrym i – jak na dobrego przystało – grzecznie siada na krzeselku. Drobny, o pokornym spojrzeniu. Do krzyża zostanie przybity dwudziesty siódmy rok z rzędu.

Później zjawia się Melchor. To on zawiśnie na krzyżu jako Chrystus, do którego znakomicie się upodobał. Obaj mężczyźni mają podobne historie: poważną chorobę w rodzinie i wyzdrowienie bez pobytu w szpitalu, które przypisują boskiej interwencji. Rozmowa nie idzie jednak łatwo. Na pytanie, czy sądzą, że Bóg cieszy się, gdy widzi ich cierpienie, i czy tego oczekuje, odpowiadają frazesami. Kiedy drążę, są zdezorientowani. Najwyraźniej mają już swoją wizję relacji ze Stwórcą, handlu wymiennego czci i poświęcenia za zdrowie i pomyślność. Danilo nawet nie chodzi co niedzielę do kościoła. Mówi, że kocha Boga i jest z nim po swojemu.

José Ramires od lat operuje młotkiem i gwoździami w czasie ceremonii. On także nie miał rozterek. Zwyczajnie przyjął obowiązujący system, w którym z czasem ktoś powierzył mu tę szczególną rolę. José nie myśli o swojej funkcji jako o przybijaniu żywego człowieka do drewna. Postrzega ją jako zaszczyt i ważne zadanie we wspólnotowym misterium. Gwoździe były tu już dawno i prędko nie znikną. To my, obcy, przecieramy oczy.

STEREOTYP TONIE W PIWIE

Piknikowa atmosfera wśród biczowników szykujących się do wymarszu. Picie piwa, palenie papierosów i drobne wygłupy trwają do ostatniej chwili.

GWÓŹDŹ PROGRAMU

W wielkopiątkowy ranek rzymska konnica gromadzi się już o świcie, na razie jeszcze w dżinsach. Melchor przymierza koronę cierniową, a Piłat cierpliwie przycina tu i tam, żeby nie uciskała za mocno ani się nie zsunęła. Barabasz od dwudziestu minut stoi z boku i modli się po cichu.

Orszak rusza zgodnie z planem. Potok ludzi gęstnieje. Aktorzy wczuwają się w role. Płaczące niewiasty nie szczędzą emocji. Nie

techniczni przywiązują mu ramiona. A potem José Ramires bierze młotek i spełnia swą posługę. Ktoś z asysty fotografuje drastyczne szczegóły tabletem. Danilo krzywi się z bólu dopiero przy podnoszeniu krzyża, gdy ciało porusza się wokół świeżo otwartych ran. Potem już twarz ma spokojną. Zły łotr reaguje tak samo. Na przebitych dłoniach nie widać krwi. Został jeszcze środkowy, najważniejszy krzyż. Pomocnik polewa belki wodą, bo zdążyły się nagrzać w ostrym słońcu. Melchor

KORONA NA MIARĘ

Melchor Montoya, który wcielił się w rolę Chrystusa, i Poncjusz Piłat, jeszcze w cywilu, poprawiają koronę cierniową z plastiku i lakowanych gałązek.



FOT. TOMASZ OWSIANY



OSTRE PRZYGOTOWANIA

Nacięcie pleców to ostatni etap przygotowania do krwawej chłosty. Jedni używają do tego żyłki, inni drewnianej szczotki inkrustowanej kawałkami szkła, zwanej *panabadem*. Kreskowane blizny zostaną do końca życia.

FOT. TOMASZ OWSIANY

udaje mi się jednak dopatrzeć w mrowiu widzów oznak wzruszenia. Raczej zapal w walce o najlepsze ujęcia: z płotów, murków, daszków przydomowych sklepików. Tłum płynie.

Wreszcie zbliża się wielki finał na Golgocie za dzielnicowym boiskiem. Danilo przyłgnął już do czarnych belek; legionści i pomocnicy

najbardziej z całej trójki stara się nie dawać oznak bólu, ale napięte usta i zmarszczone czoło mówią swoje. Później widocznie jest mu trudniej, bo odsłania zaciśnięte zęby. A to dopiero półmetek. Jeszcze trudniejsze do wytrzymania będzie przybijanie wrażliwych stóp, każdej z osobna.

Wszyscy *Cristos* po kolei zaciskają powieki i otwierają szeroko usta. W końcu Melchor osuwa się nieco, a nagrany szloch Matki i przyjaciół Jezusa rozdziera powietrze. Nie sprawdziły się zapewnienia Richmonda: ludzie nie ocierają łez. Najwyżej pot z czoła. Nie znikają las komórek i tabletek. Może to wcale nie Chrystus jest tu centralną postacią, ale Facebook – współczesny bóg próżności?

Zdjęcie z krzyża odbywa się już pod okiem ratowników medycznych. Wyciąganie gwoź-

kolorowe szorty. Rany powinny się wstępnie zasklepić po trzech dniach.

CHRYSTUS REKORDZISTA

Miesiąc po Wielkiejnocy umówiłem się z postacią numer jeden: Rubenem Enaje. Do dziś ma na koncie trzydzieści ukrzyżowań. To przy jego Golgocie co roku stają najcięższe kamery. „Chrystus rekordzista” czeka u siebie w domu. Zatrzymuję się przed nieotynkowaną ścianą,

GWOŹDZIE DZIADKA CRISTO

Ruben Enaje, zwany Dziadkiem Cristo, prezentuje gwoździe, których używa od pierwszego ukrzyżowania trzydzieści lat temu. Te do rąk są lekko kanciaste, dzięki czemu łatwiej dopasować je do dłoni. Te do stóp mają idealnie obły przekrój.



dzi to chwila największej udręki. Rany zostają błyskawicznie opatrzone. Trzej *Cristos* przyjmują końską dawkę antybiotyków i środków przeciwbólowych. Melchor może w końcu wytchnąć, leżąc obok słoika z gwoździami podpisanego jego imieniem. Danilo już po kwadransie podnosi się o własnych siłach i zakłada

z której spogląda twarz Che Guevary – własnoręczna robota Rubena. Na wewnętrznym podwórczku panuje domowy rozgardiasz. Na ziemi wiaderka po farbie i ospały kogut. Trójka wnuków Rubena wertuje Facebooka.

Wreszcie pojawia się i on. Uśmiecha się lekko, ściska rękę i z zadowoleniem przyjmuje



FOT. TOMASZ OWSIAŃSKI

OSTATNI AKT

Pokutnicy *magdarame* leżą krzyżem przed progiem miejscowej świątyni. To ostatni akt ich corocznej ulicznej ascezy.

butelkę wina. Ma rezolutne spojrzenie. Siada w swobodnej pozie na fotelu. Jednym okiem zerka jeszcze na dziennik telewizyjny. Ruben przypomina sobie, że pierwszego w życiu wywiadu udzielił właśnie Polakowi.

– *W sumie za granicą piszą o mnie więcej niż w kraju* – dodaje i bierze ze stolika paczkę papierosów. Ruben docenia proste, ziemskie przyjemności. Twierdzi, że zbyt ascetyczne życie wcale nie ułatwia wytrwania w wierze, którą traktuje zresztą jak prywatną relację z Bogiem. Rzadko zagląda do kościoła.

Jako młody człowiek został malarzem budowlanym. Któregoś dnia spadł z rusztowania i zanim uderzył w ziemię, zdążył krzyknąć „Boże!”. Twierdzi, że dzięki temu odzyskał pełnię zdrowia. W geście dziękczynnym obiecał, że ukrzyżuje się przez dziewięć lat z rzędu, symbolicznie. Potem przyjął *panatę* na kolejne dziewięć lat, w modlitwie o zdrowie dla ciężko chorej żony, a na kolejne – dla syna. Za każdym razem skutecznie. To daje mu przeświadczenie, że postępuje właściwie. Wybrał mechanizm, który działa.

Ruben jest przekonany, że Bóg posługuje się nim, by poprzez teatralną dosłowność

przypomnieć ludziom o cierpieniu Chrystusa. Zwłaszcza najmłodszym, którzy często w ogóle Biblii nie czytali. W ten sposób odpiera również zarzuty o świętokradztwo. Uważa, że ukrzyżowanie jest skuteczniejszą formą modlitwy niż samobiczowanie, ponieważ jest trudniejsze. Nie ma przy tym złudzeń, że młodzież biczuje się głównie dla towarzysstwa – sam tak robił jako nastolatek. Pytam, czy istnieją granice dewocji. Mówi, że każdy powinien wyznaczać je sam.

– *Dobrze, więc ktoś postanawia się spalić w akcie prześlągalnym. To już za daleko?*

– *Spalić? Nie no, żartujesz, przecież to samobójstwo! Tylko wariat by to zrobił!*

– *Wariat? Mówisz dokładnie to samo, co rzesze ludzi mówią o tobie! Dobrze, zatem obciąć palca. Można?*

– *Palec już przedziej... jak u Yakuzy, gilotyna do cygar?* – śmieje się Ruben. – *Może to też ich panata, co?*

DZIADEK CRISTO

Początkowo krwawe inscenizacje były kameeralną sztuką reżyserowaną przez wuja Rubena.



Szybko jednak zainteresowały amerykańskich żołnierzy stacjonujących w pobliskim Clark, a za ich pośrednictwem – zagraniczne media. U zarania w Pasji uczestniczyli tylko sąsiedzi, ale już wtedy chętnych do ukrzyżowania było wielu. Ruben musiał czekać rok na swoją kolej. Od tamtej pory jest szanowany w swojej dzielnicy i dobrze znany w mieście. Dziś nazywają go *Lolo Cristo*, Dziadek Cristo. Czasem ludzie proszą go o modlitwę w ich intencji. Ale są też głosy, że z pokutnika zrobił się gwiazdorem.

– *Eee tam. Nad sztuką pracujemy dwa miesiące, a gwiazdą jestem tylko jeden dzień. Nigdy też nie oglądam się w telewizji. Tylko moje wnuki się cieszą, kiedy widzą mnie w internecie.*

– *Bywały chwile, że walczyłeś, by nie popaść w samozachwył?*

– *Oczywiście! Zresztą chyba całe życie z tym się zmagamy, większość z nas! – odpowiada szczerze.*

Komercjalizacja święta mu nie przeszkadza: – *Przynajmniej ludzie mogą się napić w upał, a sponsorzy zasilają budżet dzielnicy – zauważa pragmatycznie. Twierdzi, że sam na tym nie zarabia. Pytam też o mikrofony nagłaśniające jęki bólu. Zdaniem Rubena są*

potrzebne, ponieważ wcześniej powtarzano, że przybijanie do krzyża to tylko sztuczka.

– *Przyglądałem się reakcjom ludzi w St. Lucia: co drugi z komórką, niektórzy ziewali. Czy to ma jeszcze sens?*

– *Tak, nawet jeśli tylko dziesięć procent coś z tego wyniesie – zapewnia.*

Tymczasem wnuczek Rubena postawił na stole słoiczek po serowym smarowidle, w którym jego dziadek trzyma gwoździe zanurzone w alkoholu. Ruben zrobił je sam, a dopracował jego wuj.

– *Ile masz lat? Trzydzieści? No to jesteś tylko rok starszy od tych gwoździ! Chodź, pokażę ci mój warsztat!*

W warsztacie, graciarni właściwie, Ruben podchodzi do stołu, na którym leżą długie, czarne belki.

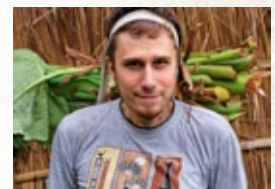
– *To najnowsze krzyże, mają pięć lat. Wymieniamy je po sześciu – tłumaczy i coś jeszcze przy nich sprawdza. Jak sportowiec doglądający sprzętu poza sezonem.*

– *Cieszę się, że cię poznałem – powiedziałem, ściskając mu dłoń. – Wydajesz się zwykłym, fajnym facetem, a mnóstwo ludzi sądzi, że...*

– *Że jestem szurnięty? No widzisz... ○*

PRÓBNY MISZ-MASZ

Uśmiechnięty apostoł robi selfie z Matką Boską w trakcie próby kostiumowej przed *Via Crucis*. Czas na skupienie i powagę przyjdzie później. W tle homoseksualny *ladyboy* pomaga przy charakterystyce świętej Weroniki.



Tomasz Owsiany

Absolwent filologii romańskiej UJ, miłośnik przyrody i przeciwnik masowej turystyki. Autor książki „Madagaskar. Tomek na Czerwonej Wyspie” wydanej w serii „Biblioteka Poznaj Świat”. Laureat Nagrody Dziennikarzy oraz Wyróżnienia Kolosów (za rok) 2015 za wyprawę „Pod ciemną skórą Filipin”.



Albania jest jak ukryty skarb. Przez 50 lat zamknięta na klucz, dopiero niedawno zaczęła się otwierać na świat. I odkrywać przed nim swe wdzięki: dziewiczą przyrodę, antyczne ruiny, nastrojowe miasteczka, szerokie plaże o białym, drobnym piasku oraz wyśmienitą kuchnię, która wabi grillowaną baraniną i owocami morza.

Marcin Kołpanowicz

TAJEMNICA BŁĘKITNEGO OKA

Aby nie wpaść w koleiny, które czyhają na wszystkich piszących o tym kraju, nie będę rozwodził się nad 750 bunkrami powstałymi na rozkaz Envera Hodży. Upstrzone jest nimi wybrzeże Adriatyku, a pomysłowi Albańczycy zagospodarowują je na budki z hamburgerami lub galerie sztuki, młodzież zaś wykorzystuje do czynów nierządnych. Nie będę rozpisywał się także o niezliczonych myjniach samochodów i zardzewiałych wrakach, wystawionych na działkach przed domami, jakby ich mieszkańcy chlubili się posiadaniem niegdys wehikułami.

Za tymi znakami nieomylnie wskazującymi, że jesteśmy w Albanii, kryje się kraina pełna sprzeczności, spektakularnie piękna i komuszoszara, nowoczesna i zacofana, wciągająca i wkurzająca. Wkurzająca zwłaszcza na nieutwardzonych drogach, których – trzeba przyznać – jest coraz mniej, bo w ich miejsce powstają asfaltowe szosy. Jednak nadal po zjeździe z autostrady Matki Teresy można znaleźć się na drodze przejezdnej jedynie dla czołgów lub na niezabezpieczonej barierkami serpentynie, która wspina się na zapierające dech w piersiach i zacierające silnik wysokości.

WYPŁYW Z OKA

Ze źródła Błękitne Oko wydobywa się co minuta z głośnym bulgotem 360 m³ wody – rwąca rzeka dostawnie i w przerośni pojawia się (jak) spod ziemi.



FOT. SHUTTERSTOCK

ŻYCIE JAK W BUTRYNCIE

Albańska riwiera to ciepłe, turkusowe morze, drobny, biały piasek, aromatyczna kawa, wyborne wina i grillowane ośmiorniczki.

SKRZYŻOWANIE W SARANDZIE

Saranda oznacza po grecku „czterdzieści” – tytu właśnie żołnierzy rzymskiego legionu Blyskawica stacjonującego w okolicach Sebasty zostało zabitych w 320 r. na rozkaz cesarza Licyniusza, ponieważ odmówili złożenia ofiary pogańskim bożkom. W VI w. na skale wznoszącej się nad Morzem Jońskim zbudowano poświęcony 40 męczennikom monaster, od którego nazwę przejęło miasto.

Wspinam się zakurzoną drogą na obrzeżach Sarandy, mijam jeżące się drutami zbrojeniowymi budynki, winnice i sady morelowe, w których powiewają łachmany strachów na wróble. Kieruję się na widoczną z daleka wieżę przekaźnikową. Obok niej ma się znajdować starochrześcijański klasztor.

Nazwać monasterem spękane fundamenty i porozrzucane kamienne ciosy to lekka przesada – z trójnawowej bazyliki, która była jakby koroną opadającej ku morzu skały, zachowała się jedynie pochodząca z III w., zatopiona w skale krypta. A jednak te ruiny, zamieszkałe przez pająki, jaszczurki i węże, świadczą o chrześcijańskiej przeszłości Albanii, choć

obecnie tylko 10 proc. ludności wyznaje tu katolicyzm, a 6 proc. – prawosławie. Turcy osmańscy najechali kraj w XIV w. i narzucili swoją religię, więc 60-procentową większość stanowią muzułmanie. Islam nie miał tu na szczęście nigdy zbyt fundamentalistycznego oblicza, lata ateizacji za komunistycznych rządów osłabiły zaś w równym stopniu wszystkie związki wyznaniowe.

Z bazyliki pozostało niewiele, jednak widok ze skały wart jest godzinnej wspinaczki w upale. Po prawej – obramowane przygiętymi przez wiatr, jakby cofającymi się przed przepaścią cyprysami – poszarpane skaliste wybrzeże Albanii, miasteczko Himara, Park Narodowy Llogara, a wcześniej rzeka Gjipe, żłobiąca efektowny kanion w skałach. U swego ujścia tworzy ona przepiękną, odciętą od świata plażę, bardzo trafnie nazwaną „ukrytym rajem”.

Po lewej – jezioro Butrint i starożytna osada o tej samej nazwie, a jeszcze dalej na południe – wyspy Grecji, oddalające się jak grzbiety kroczących osłów. Za plecami, daleko na wschodzie – Turcja, a znacznie

bliżej – Gjirokastra, miasto, w którym urodził się Hodźa. Na wprost wylania się z morza rozplaszczony kopiec: to grecka wyspa Korfu, prawie zawsze zwieńczona pierzastym kapeluszem chmur.

Turkusową tablicę wody ryje jasną kreską prom, który kursuje między wyspą a Sarandą, wylegającą się na białej plaży. Położone na skrzyżowaniu szlaków miasto to dobra baza wypadowa do zwiedzania tej części Bałkanów. Było ono kurortem jeszcze za czasów komunistycznych. Dziś jest tak szybko rozwijającym się centrum turystycznym, że pośród hoteli, pachnących świeżą farbą, trudno odnaleźć



urokliwą zabudowę starej Sarandy, wzniesionej w czasach włoskiej okupacji. Kurort przyciąga inwestorów z całego świata, zwłaszcza ze Szwecji, Rosji, Niemiec, a także Polski. Wypokupują oni mieszkania w położonych tuż nad morzem apartamentowcach.

Gdy podziwiałem ze wzgórza panoramę Albanii, trudno było mi uwierzyć, że ten zjawiskowo piękny kraj jeszcze 25 lat temu był najsilniejszym bastionem komunizmu. Ponurą satrapią, uznającą się, po zerwaniu stosunków

kolejno z Jugosławią, Związkiem Sowieckim i Chinami, za ostatnie i jedyne państwo marksistowsko-leninowskie na świecie.

MIASTO BYKA

W ruinach Butrintu, starożytnego iliryskiego miasta, 14 km na południe od Sarandy, można prześledzić całą historię tego skrawka ziemi, ulokowanego pomiędzy potężnymi ośrodkami cywilizacyjnymi: greckim, rzymskim,

BEZ DACHU NAD GŁOWĄ

Butrint to muzeum pod gołym niebem. O jego bogatej historii świadczą: grecki amfiteatr, starochrześcijańska bazylika z ruchomym stropem chmur i położona nieopodal wenecka twierdza.



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. SHUTTERSTOCK

U STÓP SREBRNEGO ZAMKU
 Swą nazwę Gjirokastra zawdzięcza twierdzy po grecku zwanej *argyro kastro* (srebrny zamek). Roztacza się z niej widok na miasto srebrnych dachów, tysiąca schodów, dwu pisarzy i jednego amerykańskiego samolotu.

bizantyjskim i otomańskim. Legenda mówi, że Butrint założyli uciekinierzy z homerowej Troi, którzy tutaj zapragnęli odtworzyć swe miasto. Gdy składali ofiarę, byk, do którego zbliżał się kapłan z nożem, zerwał się z więzi, uciekł i wskoczył do rzeki. Świadkiem wydarzenia był wieszczek Helenos, syn trojańskiego króla Priama, a bliźniaczy brat Kasandry, i on to właśnie nadał nowo zbudowanej osadzie nazwę Butrint – miasto byka. Był to ten sam Helenos, który przepowiedział Eneaszowi, że założy Rzym.

W IV w. przed Chrystusem miasto miało agorę i amfiteatr, do którego przybywali pielgrzymi, by doznać uzdrowienia po obmyciu się w źródle nieopodal sanktuarium. Za panowania rzymskiego w 32 r. Butrint wzbogacił się o akwedukt, łaźnie i nimfeum. W III w. trzęsienie ziemi poważnie uszkodziło miasto, a rozrastające się wokół bagna zmniejszyły jego atrakcyjność. Później było ono regularnie niszczone przy okazji walk między Bizantyjczykami, Normanami i Wenecjanami. W końcu, jako klucz do wyspy Korfu, stało się trójkątną twierdzą, przechodzącą na zmianę z rąk weneckich do otomańskich, otoczona osadami rybackimi. Właśnie stąd dostarczano do weneckiego garnizonu na nieurodzajnej wyspie drewno, oliwki i paszę dla koni.

Dziś Butrint jest miejscem spacerów pośród ruin porośniętych rzadkim lasem. Kiedy zwiedzałem ten park archeologiczny, amfiteatr był zalany po deszczach i bardziej przypominał basen, w jakim Rzymianie mogliby rozgrywać bitwy morskie. Z kolei bizantyjska mozaika, zdobiąca posadzkę w okrągłym baptysterium, była zasypana żwirem. Jak przeczytałem na tablicy informacyjnej, jest w ten sposób chroniona przed erozją i zalewaniem przez wody laguny; bywa odsłaniana dla turystów i badaczy jedynie co kilka lat. Największe wrażenie robią mury bazyliki starochrześcijańskiej.

Miała ona niegdyś trzy nawy, mozaikową posadzkę i ozdobny strop. Dziś podłogę porasta trawa, z trzech naw pozostała jedna, środkowa, o arkadowych murach otwierających się na błękitne niebo.

Niezwykły jest także widok z wyniosłej twierdzy na dwukolorowe wody jeziora Butrint, w połowie słodkie, w połowie słone. Żyje w nich endemiczny gatunek małży – miejscowy przysmak, w dużych ilościach eksportowany do Francji.

KOLEBKA DWÓCH PISARZY

Około 25 km dzieli w linii prostej Sarandę do Gjirokastry, jednak samochodem trzeba przebyć 60 km. Droga biegnie serpentynami na wschód, a potem skręca na północ, przebiega przez Lazarat, wioskę, która do niedawna zaopatrywała niemal całą Europę w marihuanę (w ilości ok. 1000 ton rocznie). Dopiero gdy Albania podpisała umowę stowarzyszeniową z Unią Europejską, władze położyły kres uprawie zieleń i po trzydniowej wojnie, w której nie obeszło się bez karabinów maszynowych, miotaczy granatów i wyrzutników rakiet, udało się

pokonać konopną mafię. Produkcja została przeniesiona do Republiki Kosowa, a okolice Lazaratu stały się bezpieczne dla turystów.

Gjirokastra wyróżnia się szarosrebrzystymi dachami z łupka, więc zgodnie z poetyką przewodników jest nazywana „miastem srebrnych dachów”, a że wszystkie jej uliczki są strome, bedekery określają ją jako „miasto tysiąca schodów”. Niezbyt trafnie, bo po zbyt wielu schodach się nie wspinałem. Bruk, kładziony poprzecznymi pasami, z daleka może przypominać schody. Być może ktoś, kto ukuł to określenie, znał miasto tylko z fotografii.

Pokrzywione kamieniczki z wykuszami, włóczące się po ulicach osły i kozy, śpiące psy, kramiki z wzorzystymi tkaninami, pracujący przed warsztatami rzemieślnicy – nadają miastu charakter zamieszkanego skansenu. Podkreślają to położone na jego obrzeżach okazałe, tradycyjne dwory albańskie, również zamieszkane, ale za drobną opłatą udostępniane do zwiedzania.

W Gjirokastrze przyszedł na świat Enver Hodża, i do niedawna całe miasto było jednym wielkim muzeum dyktatora. By oddać mu sprawiedliwość, trzeba zaznaczyć, że tyran

ZARDZEWIAŁE TROFEUM

Ucennice miejscowego liceum za sterami amerykańskiego Lockheed T-33 Shooting Star, przechwyconego przez niezwyciężoną armię albańską podczas naruszenia przestrzeni powietrznej w 1957 r. i rdzewiejącego odtąd na murach zamku w Gjirokastrze.



FOT. MARCIN KOLPANOWICZ

BURMISTRZ ROZWOJOWA

Pani Floriana Koka, burmistrz Sarandy, w rozmowie z Autorem. Przedstawia plany rozwoju miasta i budowy lotniska, które ułatwi turystom z całego świata dotarcie do najslawniejszego kurortu Albanii.

z Tirany był człowiekiem solidnie wykształconym, absolwentem uniwersytetu w Montpellier, biegle władającym językami: angielskim, włoskim, serbskim i rosyjskim. Był także namiętnym czytelnikiem literatury pięknej oraz autorem 60 książek.

Jednak to inny literat rozślawił w świecie Gjirokastrę – również tutaj urodzony Ismail Kadare, autor dzieł takich, jak „Generał martwej armii”, „Ślepy ferman” czy „Pałac snów”. W tej ostatniej powieści cofa się do czasów Imperium Osmańskiego i opisuje owiany grozą Pałac Snów w Konstantynopolu, w którym setki urzędników analizują spisywane na terenie całego kraju sny poddanych. Na ich podstawie są oceniane polityczne nastroje, przewidywane spiski i zamachy stanu. Co roku wybierany jest Arcysen, który stanowi rodzaj wyroczni dla władcy. Powieść *historical fiction* jest zarazem metaforą życia w totalitarnym państwie, jakiego pisarz doświadczył, zanim uzyskał azyl polityczny we Francji w 1990 r. Obecnie Kadare tworzy w Paryżu i jest kandydatem do literackiej Nagrody Nobla.

Być może inspiracją do „Pałacu snów” była przytłaczająca osmańska twierdza górująca nad miastem (Gjirokastra wywodzi swą nazwę od greckich słów *argyro kastro* – „srebrny zamek”), rozbudowana do obecnych rozmiarów przez Alego Paszę z Tepeleny na początku XIX w. Warownia służyła później jako więzienie, a dziś mieści muzeum broni, najeżone lufami tureckich armat i włoskich czołgów. Na dziedzińcu rdzewieje najslawniejszy w Albanii wrak – amerykański Lockheed T-33 Shooting Star zmuszony do lądowania podczas lotu zwiadowczego i eksponowany do dziś jako największe po II wojnie trofeum niezwykniętego narodu albańskiego.

Napotykam tam grupę roześmianych licealistek z Gjirokastry, które robią selfie za nieistniejącymi sterami myśliwca, a potem zgrabnie jak kozice wspinają się na mury zamczyska i kierują ku wieży zegarowej i tarasowi widokowemu. Rozciąga się z niego olśniewająca panorama, jakich nie brakuje w Albanii. W błękitnym oddaleniu szczyty rozłożystego górskiego pasma drapią brzuchy białych, skłębionych chmur. Na jednym z wierzchołków można wypatrzeć ruiny Antygonei, twierdzy założonej przez króla Epiru, Pyrrusa – tego samego, który tak drogo musiał płacić za swe zwycięstwa, że stał się bohaterem znanego powiedzenia.

Starówka Gjirokastry obfituje w ciasne i zadymione kawiarenki, w których – jak w całej Albanii – wolno palić, a kawa jest lepsza i tańsza niż we Włoszech. Gdy dopadnie głód, najbezpieczniej jest zamówić serwowane na każdym rogu *burki*, puszyste placki z ciasta francuskiego wypełnione farszem ze szpinaku lub słonego sera. *Burek* ma tę zaletę, że można go wskazać palcem i wiadomo, co się dostanie, podczas gdy zamawianie potraw w restauracji kończy się często niespodzianką. Ponieważ większość Albańczyków nie zna języków obcych, najlepiej wynotować sobie wcześniej ze słownika nazwy potraw. Ale i to niewiele daje, bo przekonany, że zamówiłem krewetki (po albańsku *karakalec*), otrzymałem grillowane baranie jelita (*kukurec*), które na szczęście okazały się bardzo smakowite.

Język albański to anomalia lingwistyczna: choć należy do grupy indoeuropejskiej, prawie żaden jego rdzeń nie przypomina rdzeni języków słowiańskich, romańskich czy germańskich; nawet nazwa samej Albanii po albańsku to Szkiperi. W dodatku mieszkańcy

KANION JOŃSKI

Rzeka Gjipe płynie potężnym kanionem, którego skały widać na zdjęciu. Dziewicza przyroda i pierwotne, nieskażone krajobrazy to główne walory jońskiego wybrzeża Albanii.





połnocy mówią z takim akcentem, że ci z południa nie są w stanie ich zrozumieć. Nieoczekiwany wyjątek dla polskiego ucha stanowią dwa słowa: *szkoł* i *plaż*, i oznaczają, jak można się domyślać, szkołę i plażę. Poza tym nawet najprostsze wyrażenia brzmią dziwnie. – *Mir Dita* – powiedział, wyciągając dłoń, przedstawiony mi Albańczyk. – *Marcin Kołpanowicz* – odparłem, odwzajemniając uścisk. Dopiero po chwili wyjaśniono mi, że *mir dita* to nie imię i nazwisko mojego rozmówcy, ale zwyczajne „dzień dobry”. Po zakończeniu zakupów często słyszałem tajemnicze słowo *faleminderit*, które oznacza po prostu „dziękuję”. Jak widać, porozumiewanie się z miejscową ludnością wymaga domyślności oraz talentów aktorskich. Niewątpliwie najłatwiej przychodzi zapytać o szkołę i – co bardziej przydatne – plażę.

RZĘKA WYSKAKUJE Z ZIEMI

W drodze powrotnej do Sarandy zjeżdżam na wąską, szutrową drogę, by dotrzeć do miejsca anonsowanego przez drogowca jako Syri i Kaltër (Błękitne Oko). Po zaparkowaniu na końcu drogi odbywam krótki spacer wzdłuż wartkiej rzeki. Jej brzegi porasta dorodny las, przypominający tolkienowską krainę Entów. Mijam ogromne pnie, udrapowane bluszczem i zarośnięte brodami mchów, rozłożyste parasole nadrzecznych liści i gigantyczne barszcze Sosnowskiego. Docieram do źródła, z którego rzeka wypływa, choć należałoby raczej powiedzieć: do miejsca, w którym rzeka wyskakuje spod ziemi.

Z naturalnej studni z głośnym bulgotem co minuta wydobywa się 360 m³ wody, wydaje

POKOLENIE MISTRZÓW © DISCOVERY NETWORKS

CANAL+
Discovery

POKOLENIE MISTRZÓW

OD 4 KWIETNIA, GODZ. 21:00

KANAŁ DOSTĘPNY W NC+
I WYBRANYCH SIECIACH KABLOWYCH.

R E K L A M A

się więc, że szeroka rzeka, wypełniona krystalicznie czystą, lodowatą wodą, materializuje się nagle, samoistnie, jakby za sprawą czarów. Płetwonurkowie, którzy próbowali rozwikłać tajemnicę tego cudu natury i ustalić głębokość źródła, dotarli do 45 m. Nie udało im się zejść głębiej, nie pozwoliło na to ciśnienie strugi wybijającej spod ziemi.

Stałem na mostku nad okrągłym źródłem, którego wnętrze jest ciemnoturkusowe, a brzegi niemal białe, co nadaje mu istotnie wygląd ogromnego oka, i pomyślałem o sławnym Lost Lake w stanie Oregon w Stanach Zjednoczonych. Jeziorze, pośrodku którego znajduje się okrągły wodospad, wysysający wodę w nieznanym kierunku. Być może krąży ona jakimiś spletanymi podziemnymi tunelami, by w końcu wybić na powierzchnię w Syri i Kaltër? ○



Marcin Kołpanowicz

Malarz i podróżnik. Wrażenia z wypraw są inspiracją dla jego pastelowych i olejnych wizji, łączących w sobie wyobraźnię, poetycką metaforę i filozoficzne przesłanie. Autor ponad 20 wystaw indywidualnych. Jego obrazy pojawiły się na okładkach książek.

SZEŚĆ TYSIĘCY DO ZDOBYCIA

Elżbieta Adamska

Czy dwójka całkiem przeciętnych górolazów, których największym wyczynem było wejście na Rysy od polskiej strony, ma jakiegokolwiek szanse w starciu z sześciotysięcznikiem? Huayna Potosi (6088 m n.p.m.) jest podobno najłatwiejszym z nich na świecie. Tak się składa, że jesteśmy w La Paz, mamy niedaleko. Sprawdźmy to.

Okazuje się, że mamy szansę – nawet jeśli wcześniej się nie wspinaliśmy. Nie napiszę, że skoro my weszliśmy, to każdy może. Myślę, że daliśmy radę, bo od dwóch tygodni przebywaliśmy na wysokości powyżej 3000 m n.p.m., a za sobą mieliśmy wielodniowe trekkingi z namiotem na plecach. I po prostu wyrobiliśmy sobie dobrą kondycję. Albo biomet tego dnia był korzystny.

MŁODA GÓRA

Stolicę Boliwii otacza łańcuch gór Cordillera Real, więc ośnieżonych szczytów sięgających

powyżej 6000 m w okolicy La Paz nie brakuje. Z nich wyróżnia się Huayna Potosi (w języku Indian Ajmara: Młoda Góra), 25 km od miasta. Uchodzi za najłatwiejszy sześciotysięcznik do zdobycia ze względu na nietrudną technicznie trasę i zaledwie 1400 m przewyższenia, dzięki położeniu na płaskowyżu Altiplano. Jak na tak wysokie góry – to niedużo. Dla porównania: wspinający się na Kilimandżaro (5895 m n.p.m.) w pionie pokonują 4000 m.

Nie planowaliśmy w Ameryce Południowej zdobywania takich wysokości. Nie sądziliśmy, że to w ogóle możliwe dla laików. Ale któregoś wieczoru w hostelu w Sucre podслушалиśmy rozmowę dwóch dziewczyn i od słowa



WRACAJĄ Z TARCZĄ
Grupa szczęśliwców, którym udało się zdobyć Huayna Potosi, wraca do bazy.

do słowa dowiedzieliśmy się nie tylko o istnieniu Huayna Potosi, ale także o trekkingach z przewodnikiem, które są organizowane na szczyt. Długo nie musieliśmy się zastanawiać. Kiedy, jeśli nie teraz? Młodszy ani sprawniejsi już nie będziemy.

Taki trzydniowy trekking jest w ofercie wielu agencji w La Paz, ale gdyby zawęzić wyniki wyszukiwania do tych bez pośredników i tych, które wzbudziły nasze zaufanie, została jedna – ta, która zaczęła rozmowę od sprawdzenia prognozy pogody na dzień ataku szczytowego. Nawet boliwijskim latem na szlaku w nocy temperatura spada do -15°C , więc przed wyjazdem przymierzamy ubrania,

buty i dobieramy cały sprzęt: czekany, kaski, uprząże. Jedyne, co mamy zabrać ze sobą, to napoje energetyzujące i czekoladę. Dużo czekolady.

Dojeżdżamy do bazy – jest nią mały domek w górach na wysokości 4700 m n.p.m. Mieszka w nim sześciolatka Katarina z rodzicami. Jak się żyje, siedząc codziennie w kuchni, podczas gdy salon, telewizor i wszystkie gniazda zajmują *gringos*? W domu, w którym nawet latem, owinięci w koc, marzliśmy?

AKCJA AKLIMATYZACJA

Jest nas szóstka – czwórka Francuzów i my. W ostatniej chwili, już w High Camp, dołącza para Boliwijczyków, którzy jeszcze poprzedniego dnia spacerowali po ulicach miasta Santa Cruz. W 24 godziny z 400 na 5000 m n.p.m. – to nie mogło się skończyć dobrze. Zanim zdążyliśmy porozmawiać, oni już z bólem głowy schodzili z powrotem w dół. My, nawykli do przebywania na Altiplano, wprawdzie nie czujemy żadnych objawów choroby wysokościowej, ale nie



DZIECKO GÓR

Sześciolatka Katarina często wędrowców *cafecito* i *pancito* (kawą i chlebem) w bazie położonej na 4700 m n.p.m., gdzie mieszka.



FOT. ELŻBIETA ADAMSKA

TRENING NIE CZYNI MISTRZA

Tomek ze wspinaczką na lodzie radził sobie doskonale, Ela – wręcz przeciwnie.

wiemy, jak nasze ciała zachowują się na pięciu tysiącach metrów – i wyżej.

Najstabilniejsze warunki atmosferyczne na Huayna Potosi panują boliwijską zimą, a europejskim latem – jest sucho i słonecznie. My byliśmy tam w lutym, więc poza chorobą wysokościową i zwyczajnym brakiem sił plany pokrzyżować nam mogła pogoda. Tak jak grupie, z którą się mijaliśmy – nie mieliśmy nawet szansy wejść na szczyt. Tak samo

my pierwszego dnia nie mieliśmy szansy podejść do lodowca, żeby potrenować wspinanie. Naszym obowiązkiem było: dużo jeść, odpoczywać i grać w karty. Założyliśmy z Francuzami ligę makao.

Choć nasze położenie to nic w porównaniu z tym, w jakim są himalaiści, którzy tygodniami czekają na okno pogodowe, to i tak cieszymy się jak dzieci, kiedy David, nasz przewodnik, podaje prognozę. Na noc zapowiadają brak wiatru i zero opadów. Mamy szczęście! Możemy iść na trening – 40 minut spaceru w pełnym osprzęcie.

Zatknięcie czekana na szczycie kilkumetrowej ściany lodu zajmuje Davidowi sekundy. Po kolei każdy próbuje opanować podstawy wspinaczki. Pierwsze metry i już wiem, że to nigdy nie będzie mój konik. Staram się nie przejmować, dziesięć razy pytam Davida: – *Czy to niezbędne do wejścia na szczyt?* I dziesięć razy otrzymuję odpowiedź odmowną. Dzisiaj wiem, że kłamał w dobrej wierze, nie chciał mnie wystraszyć.

Po południu żarty się kończą, czeka nas pierwsza poważna próba. Każdy bierze swój sprzęt na plecy i zaczyna podejście do High Campu, na 5100 m n.p.m. Zaczyna być widać, kto odstaje od grupy. Ja z kolei zaczynam rozumieć, że lepiej iść wolniej – na tej wysokości nie da się zresztą iść szybko – ale równym tempem. Do schroniska docieram jako pierwsza (nie licząc kucharki, która wyprzedziła nas, niosąc na

plecach butlę z gazem i prowiant...). W momencie kiedy przybijam z Davidem piątkę, wierzę, że dam radę. Jak nie ja, to kto?

GODZINA ZERO

Teraz łatwo mi się opisuje „przygodę”, ale nie zapomnę nigdy tego uczucia, kiedy kładłam się „spać”. Przez trzy godziny „snu” zdążyłam przypomnieć sobie skład swojej klasy

licealnej; i tak bardzo, bardzo nie chciałam, żeby było już rano. Bo rano – to jest o północy – trzeba było wstać, wmusić w siebie jedzenie (na 5000 m n.p.m. nie chce się ani jeść, ani spać), założyć całe to żelastwo i wyjść w noc. Na 15 stopni mrozu. Ze świadomością, że od tej pory jedyne, co nas czeka, to sześć godzin trekkingu. Pod górę, w rakach.

Na początku nie jest źle, po prostu się idzie. Nawet nie bardzo pod górę, czasami orientuję się, że jest płasko. Doceniam te chwile małych przyjemności. Wpadam w rytm i myślę sobie, że w zasadzie... nie ma tragedii. Tylko czemu czas tak wolno płynie, a David zawsze podaje niższą wysokość, niż nam się wydaje, że już weszliśmy? Trasa wschodnia jest bardzo popularna, takich grup jak my idzie w sumie kilkanaście. Droga jest widoczna w świetle czołówek, wydeptana przez pierwszych turystów. Teoretycznie nie potrzeba przewodnika, żeby dotrzeć na szczyt, ale ścieżka prowadzi cały czas przez lodowiec, a David zna każdą szczylinę, nawet te ukryte pod świeżym śniegiem.

Niby nie ma między nami rywalizacji, ale wiadomo – każdy chciałby wejść. Jeszcze w bazie zaczęło się stroszenie piórek: ktoś nurkuje, ktoś biega długie dystanse, ktoś się wspina amatorsko. Atak szczytowy wszystko weryfikuje, nawet maratończyk nie ma szans z bólem głowy i wymiotami wywołanymi wysokością. Mniej więcej w połowie drogi zostaje połowa wspinających. Z kilkunastu 3-osobowych zespołów, które wyruszyły ze schroniska, zostaje kilka. Z sześciu osób z naszej agencji zostajemy tylko my.

DOJŚĆ DO ŚCIANY I ZDOBYĆ SZCZYT

Dzisiaj jestem wdzięczna za to, że zataił prawdę o 15-metrowej ścianie lodu w połowie drogi. Gdybym wiedziała wcześniej, moje morale sięgnęłoby dna. A tak stanęłam przed faktem dokonanym: albo wchodzę, albo się poddaję. A jeśli ja się poddaję, to mój mąż też musi, bo jesteśmy związani liną. Przysięgam, że do dziś nie wiem, jak to się stało, ale jakoś znalazłam się na górze. Myślę, że to David wciągał mnie w tych rzadkich chwilach, kiedy nie zwisałam bezwładnie na linie i nie krzyczałam: – *No puedo! Nie mogę!*



ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A

Różnych rzeczy się naczytałam na temat przebywania na takiej wysokości. Że będę mieć halucynacje, że mogę wymiotować – to jest, jeśli nie dostanę obrzęku mózgu i nie umrę. Nie wiem, czy pomogły liście koki pod policzkiem, ale poza tym, że szliśmy i oddychaliśmy tak ciężko, jak nigdy w życiu, to poważniejszych objawów nie stwierdziliśmy. Pomagało też śpiewanie w głowie piosenek (nie wiem, czemu przychodziły mi na myśl tylko Maryla Rodowicz i Budka Suflera; zdecydowanie nie polecam „Panie Janie”).

Na ostatnim etapie wyrabiam sobie rytm: krok, krok, czekanie. Krok, krok, czekanie. Zdaję sobie sprawę, że idziemy przytuleni do pionowej ściany. Wystarczy źle wbić czepek w śnieg i gdyby obsunęła się komuś noga,



FOT. ELŻBIETA ADAMSKA

5200 M N.P.M.

**Widok z High Campu
na łańcuch Cordilliera
Real po rozstąpieniu
się chmur.**



FOT. ELŻBIETA ADAMSKA

Elżbieta Adamska

Mieszka w Poznaniu. Na co dzień urzędnik samorządowy, po godzinach fotografuje i pisze bloga niesmigielska.com

to wszyscy polecilibyśmy w dół. Nie myślę o tym. Nie da się robić zdjęć. Trzeba by się zatrzymać, wyjąć aparat z plecaka i znowu go schować. Nie ma czasu. Na tym etapie David nie ma litości, nie pozwala stanąć nawet na pół minuty – musimy być na szczycie maksymal-

nie do godziny 7.30, potem śnieg topnieje i grozi zejściem lawiny.

Wschód słońca nad La Paz? Podobno zjawiskowy, a ja go ledwo pamiętam, widziałam kątem oka. Jest już jasno, kiedy David mówi, że widać wierzchołek. Za 40 minut będziemy na górze. To był drugi moment, kiedy uwierzyłam, że nam się uda.

Punktualnie o 7.00 stanęliśmy na szczycie. Wiemy, bo budzik zadzwonił. Weszliśmy jako jedyni z naszej grupy. To była najbardziej wymagająca fizycznie rzecz, jaką w życiu robiłam. Na maraton się nie wybieram, więc cięższy może być chyba tylko poród. Droga w górę zajęła nam sześć godzin. Droga w dół – dwie. Kiedy traciliśmy kolejne metry wysokości, nie mogłam się nadziwić – to my naprawdę tyle weszliśmy? Teraz już nie potrafię sobie przypomnieć, jak bardzo było nam ciężko, słowa nie przystają do wspomnień.

Pamiętam, że gdy doczołgałam się do schroniska i miałam podejść 20 m pod górę, to płakałam jak bóbr. Pamiętam, że jedno po drugim musieliśmy ten trekking odchorować. Pamiętam, że przez kolejne dni nie mieliśmy siły podejść pod najmniejszą nawet górkę, a w dzienniku podróży zanotowałam takie zdanie: „Nigdy więcej”. Teraz nie jestem pewna, co miałam na myśli. To jak w końcu? „Nigdy” czy „więcej”? ○



ZA NAMI:



FOT. ANDRZEJ GÓRSKI / USTRZYCKI DOM KULTURY



XIII PRZEGLĄD FILMÓW GÓRSKICH W USTRZYKACH DOLNYCH

Już od 13 lat w sercu Bieszczad odbywa się Przejąd Filmów Górskich, w tym roku 20-22 stycznia. W ciągu trzech dni oprócz pokazów filmów, odbyły się spotkania z ludźmi gór oraz blok poświęcony bezpieczeństwu w górach. Gośćmi przeglądu byli m.in.: Janusz Gołąb i Aleksandra Dzik. Zaprezentowano świetne dokumenty Dariusza Załuskiego oraz film „Alpine Wall Tour” w reżyserii Wojtka Kozakiewicza.

Sobotę zdominowała impreza na stacji narciarskiej Gromadzyń. Były pokazy ratownictwa, nauka jazdy na nartach, gry i zabawy dla najmłodszych. Nagrody w konkursach ufundowała Regatta. Organizatorami imprezy byli Burmistrz Ustrzyk Dolnych, Grupa Bieszczadzka GOPR i Ustrzycki Dom Kultury.

ZAPOWIEDZI

SZCZEBEL W CZTERECH SMAKACH



4 biegi w czasie 4 pór roku. Celem jest Szczebel, jedna z najbardziej stromych gór Beskidu Wyspowego. 3 km do góry, 600 m przewyższeń i meta na szczycie. Pierwsza, zimowa edycja, odbyła się 11 lutego. Kolejny bieg w ramach cyklu już 8 kwietnia. Udział w zawodach to szansa na wygraną bonów zakupowych do wykorzystania w sklepach Regatta.

20. MIĘDZYNARODOWE MISTRZOSTWA AUTOSTOPOWE

ZAPOWIEDZI



To najstarsza i jedna z największych tego typu imprez na świecie, która stała się inspiracją dla innych wyścigów autostopowych w kraju i zagranicą. Odbędzie się w długi weekend majowy (29 kwietnia – 3 maja 2017 r.). Zawodnicy wystartują z sopockiego moła. Swoją przygodę zakończą zaś w urokliwej stolicy Katalonii – Barcelonie, położonej nad Morzem Śródziemnym. Na najlepszych na mecie będą czekać vouchery na zakup produktów marki Regatta.

GEOSKOP

OBEJRZANE PRZECZYTANE ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

ŻYWI CZY MARTWI

Ponad dwadzieścia tysięcy osób w Meksyku uznaje się dziś za zaginione. Nie żywi, nie martwi, bez tożsamości, bez ochrony prawnej, bez nadziei na odnalezienie. Ofiary zaginięć, w które uwikłany jest aparat władzy. Federico Mastrogiovanni w książce „Żywi czy martwi. Porwania ludzi w Meksyku jako narzędzie terroru” szuka przyczyn zjawiska i łączy pozornie niezwiązane ze sobą fakty. To wszystko pozwala mu odkryć przerażającą prawdę – wymuszone zaginięcia to narzędzie państwowego terroru, z którego czerpią zyski międzynarodowe koncerny i przestępczość



zorganizowana.

To dziennikarskie śledztwo ujawnia przerażające rozmiary procederu.

Na podstawie rozległych badań w terenie, rozmów z ocalałymi ofiarami i rodzinami zaginionych, wywiadów z polito-

logami, działaczami i funkcjonariuszami państwowymi Federico Mastrogiovanni kreśli ponurą panoramę złożonego zjawiska, które na pierwszy rzut oka zdaje się pozbawione wszelkiego sensu. Dowiadujemy się, że przymusowe zaginięcia były sposobem Hitlera na pozbycie się niewygodnych osób, a Meksyk jest pierwszym krajem, który stosuje tę metodę po II wojnie światowej. Książka wydana przez Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego.

ZAPOMNIANA WOJNA

Publikacja Krzysztofa Błażycy „Krew Aczoli. Dziesięć lat po zapomnianej wojnie na północy Ugandy” jest ważna z co najmniej trzech względów. Po pierwsze, autor wprowadza na polski rynek wydawniczy pozycję poświęconą tematyce konfliktu na północy Ugandy, w której głos oddaje tym, których konflikt dotknął w najgłębszy sposób. Po drugie, podejmuje temat, który został niemal zapomniany nie tylko w polskich, lecz także zagranicznych mediach. Po trzecie,



„Krew Aczoli” pokazuje skomplikowaną naturę pokonfliktowego społeczeństwa w postkolonialnym państwie subsaharyjskim. Usytuowanie w międzynarodowym podziale pracy, znaczenie etniczności i tradycyjnych form kulturowych – to tylko niektóre z tematów, które autor porusza. Książka jest doskonałym źródłem informacji dla tych, którzy chcą badać współczesną Ugandę. Informacje w niej zawarte mogą być przydatne dla politologów, etnografów, a przede wszystkim – osób badających zagadnienie sprawiedliwości w czasie transformacji ustrojowych.

PO DRUGIEJ STRONIE RAJU

Palmy kokosowe pochylają się nad piaszczystymi plażami, wokół intensywnie turkusowa woda i kolorowe łódki uśmiechniętych rybaków. Indonezja – idealna sceneria egzotycznych wakacji na końcu świata. Czy ten tropikalny raj pozostanie bez skazy, jeżeli poznamy go lepiej? Anna Jaklewicz zabiera nas w głąb świata położonego z dala od turystycznych kurortów. Pokazuje obraz Indonezji bez retuszu. Czym jest piąta pięć? Do czego służą cukierki z cyjanku potasu? Czy można mieszkać trzy lata ze zmarłym? Jak wiele krwi przelano za goździki i gałkę muszkatołową? By się tego do wiedzieć, autorka bierze udział w szamańskich rytuałach, ceremoniach pogrzebowych, mieszka z morskimi cyganami i ludźmi lasu w głębi dżungli. Jej książka to połączenie autorefleksyjnej prozy podróżniczej, pasjonującego szkicu antropologicznego i frapującego reportażu. Wydawnictwo Bezdroża.



TRAVELERZY



travelerzy.pl

Mateusz Wykurz od lat pasjonuje się filmowaniem i fotografią. Od jakiegoś czasu zajmuje się tym zawodowo, prowadzi własną firmę i działa na rynku jako freelancer. Trudno mu jednak usiedzieć w miejscu, bo od zawsze fascynowały go również podróże. Postanowił połączyć obie pasje i stworzyć na YouTube kanał o polskich podróżnikach – Travelerach. To ludzie, którzy „odważyli się odważyć” i wyszli poza własną strefę komfortu – ekspaci, emigranci i globtroterzy, którzy żyją samą ideą podróży, odkrywania i wyjazdu w nieznaną. To niepoprawni podróżnicy i pozytywnie zakręceny Polacy, którzy nieustannie są w drodze, lub też postawili wszystko na jedną kartę i zdecydowali się zamieszkać na stałe w innym kraju. Internetowa seria filmów dokumentalnych przedstawia ich sylwetki oraz relacje z miejsc, w których się znajdują. Travelerów od innych tego typu produkcji wyróżnia przede wszystkim jakość – zarówno zrealizowanych nagrań, jak i historii opowydanych przez ich bohaterów. www.youtube.com/c/Travelerzy



FOT. MATEUSZ WYKURZ



FOT. MATEUSZ WYKURZ



FOT. MATEUSZ WYKURZ



FOT. MATEUSZ WYKURZ



Równoleżnik Zero
Wrocławski Festiwal Podróżniczy
im. Olgierda Budrewicza

FOT. ARCHIWUM FESTIWALU

AUSTRALIJSKI RÓWNOLEŻNIK

W dniach 7–8 kwietnia Miejska Biblioteka Publiczna (filie Mediateka i Biblioteka Turystyczna) zaprasza na Wrocławski Festiwal Podróżniczy im. Olgierda Budrewicza „Równoleżnik Zero”. W tym roku tematem będą podróże po Australii – jedynym kraju na świecie, który obejmuje cały kontynent – oraz „pobliskich terytoriach”: Nowej Zelandii, Papui i Nowej Gwinei, Wyspach Morza Koralewego, Timoru Wschodniego, Wyspach Salomona czy Nowej Kaledonii. O swoich przygodach opowie m.in. Marek Tomalik. Będzie można posłuchać opowieści, wziąć udział w warsztatach, obejrzeć pokazy zdjęć. Organizatorzy zapewniają także atrakcje dla najmłodszych.

www.poznaj-swiat.pl

Rubinowe oczy Kremla

Każde miasto ma swoje legendy, a w każdej legendzie kryje się ziarno prawdy. Im starsze i większe miasto, tym więcej legend. A Moskwa jest ogromna i tajemnicza. Ludzie powiadają, że jest przeklęta od XII w., gdy zamordowano ostatniego kapłana pogańskiego boga Jariły. Gdy konał, rzucił klątwę na tych, którzy w świętym miejscu chcieliby czcić innych bogów. Odtąd na Moskwę spadają różne nieszczęścia: zarazy, pożary i obce armie, a na kremleńskim tronie zasiadają okrutni władcy.

Może właśnie dlatego Rosjanie są tacy przesądni? Co roku wydają miliardy dolarów na usługi wróżek, jasnowidzów, okultystów i znachorów. Wierzą w międzynarodowe spiski, snują opowieści o duchach, skarbach i innych wymiarach. Od wieków moskiewscy magowie w podziemnych laboratoriach poszukują kamienia filozoficznego, a diggerzy eksplorują labirynt korytarzy z nadzieją na odnalezienie ksiąg króla Salomona, tajnej linii metra, podziemnych osiedli i gwiezdnych wrót. W swojej najnowszej książce „Rubinowe oczy Kremla. Tajemnice podziemnej Moskwy” Maciej Jastrzębski, korespondent Polskiego Radia, niezrównany gawędziarz i niestrudzony badacz rosyjskiej duszy, zabierze czytelników na wyprawę do podziemnej Moskwy, aby odnaleźć sekretną bibliotekę bizantyjskich cesarzy, a przy okazji dotknąć wielu tajemnic rosyjskiej stolicy – zarówno dawnych, jak i tych, które dotyczą jej najnowszej historii. Jest to opowieść o tym, co niejednoznaczne, nieoczywiste, nieprawdopodobne, a jednak ma ogromny wpływ na życie moskwiaków. Premiera 11 kwietnia, wydawnictwo Editio.





ZDOBYWCY KOŁOSÓW

W drugi weekend marca odbyła się, po raz 19., największa impreza podróżnicza w Polsce i Europie. Gdynia na trzy dni zamieniła się w stolicę podróżników, żeglarzy i alpinistów. Kołosa za dokonania w 2016 r. były wręczane w pięciu kategoriach.

Kolos w kategorii „Podróże” trafił do Małgorzaty Jarmułowicz i Zygmunta Leśniaka za konsekwencję i pasję w dokumentowaniu ginących tradycji społeczności indonezyjskich. W tej samej kategorii wyróżnieni zostali: Anna Rutkowska oraz Anna i Mateusz Emeschajmerowie. „Wyczyn roku” to dokonanie Małgorzaty Wojtaczki, która jako pierwsza Polka samotnie dotarła na biegun południowy. Wyróżnieni w tej kategorii zostali: Robert Gondek, Krzysztof Suchowierski oraz Marcin Korzonek. Kategorię „Eksploracja jaskiń” wygrał Krzysztof Starnawski za konsekwencję w badaniu

największej podwodnej jaskini świata. Wyróżniona została Wyprawa Centralna Komisji Taternictwa Jaskiniowego Polskiego Związku Alpinizmu, kierowana przez Andrzeja Ciszewskiego, oraz Sekcja Taternictwa Jaskiniowego Klubu Wysokogórskiego Kraków. Kategorię „Żeglarstwo” wygrał Szymon Kuczyński za nienaganną realizację 14-miesięcznego samotnego rejsu dookoła świata na 6,5-metrowym jachcie. Kolos w kategorii „Alpinizm” powędrował do Andrzeja Bargiela za rekordowo szybkie zdobycie pięciu siedmiotysięczników dające tytuł Śnieżnej Pantery. Wyróżniony w tej kategorii został również Marcin Tomaszewski. Super Kolosa za całokształt dokonań podróżniczych wręczono wybitnym żeglarzom i podróżnikom Joëlle i Januszowi Kurbielom. Januszowi Kurbielowi nagroda została przyznana pośmiertnie.

Ponadto Nagrodę Dziennikarzy otrzymał Tomasz Jakimiuk, Nagrodę im. Andrzeja Zawady – Maciej Stromczyński i Grzegorz Ozimiński, a nagrodę Wiecznie Młodzi! – Ryszard Pawłowski.



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA

ŚWIĘTO FOTOGRAFII

Na początku kwietnia Łódź stanie się polską stolicą fotografii i filmowania. W dniach 6–8 kwietnia święto będą obchodzić wszyscy, których pasją jest utrwalanie świata w kadrze zdjęciowym i filmowym. Targi FILM VIDEO FOTO są największym wydarzeniem wystawienniczym branży fotograficznej oraz rejestracji dźwięku i obrazu w Europie Środkowo-Wschodniej. To okazja do zapoznania się z nowościami czołowych producentów, usługodawców



**FILM
VIDEO
FOTO**

oraz dystrybutorów sprzętu i akcesoriów fotograficznych, filmowych, audio-video oraz technologii

multimedialnych. Targi to także możliwość spotkania z najbardziej rozpoznawalnymi i doświadczonymi ekspertami. Będzie wiele wykładów oraz warsztatów prowadzonych przez specjalistów. Każdego dnia szkolenia będą podzielone na bloki tematyczne związane z fotografią, filmowaniem, drukiem i obróbką obrazu. Nie zabraknie wystaw i spotkań ze znanymi fotografami. Pierwszy dzień targów zostanie przeznaczony wyłącznie dla przedstawicieli branży na spotkania B2B. Natomiast 7 i 8 kwietnia są dla wszystkich, którzy chcą rozwijać umiejętności, poznać nowinki technologiczne oraz spotkać się z ekspertami.

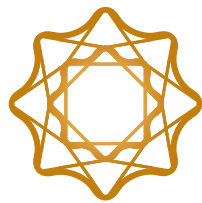
Dos Gringos w Wietnamie i Indonezji



Pod koniec kwietnia Dos Gringos Alicja Kubiak i Jan Kurzela wyruszają na kolejną wyprawę. Tym razem planują pokonać 30 tys. km w 110 dni, z czego część po bezdrożach Papui Zachodniej. Poruszać się będą samolotami, autobusami lokalnymi, promami, łódkami i na piechotę. Celem wyprawy jest poznanie plemion zamieszkujących niedostępne tereny Indonezji i Wietnamu. Podróżnicy chcą przybliżyć tamtejszą kulturę, tradycje i wierzenia. Dos Gringos chcą również pokazać, że podróżować może każdy, bez względu na wiek, płeć czy stan konta. Swymi spostrzeżeniami i przygodami będą dzielić się na stronie facebook.com/oczami.dos.gringos, gdy tylko pozwoli na to zasięg internetu.



FOT. ALICJA KUBIAK, JAN KURZELA



OPAL TRAVEL
BIURO PODRÓŻY

✿ WYPRAWY W KAMERALNYCH GRUPACH ✿ WYPRAWY SZYTE NA MIARĘ
PODRÓŻE DLA KONESERÓW ✿ WYPOCZYNEK ✿ INCENTIVE

ODWIEDŹ NASZĄ NOWĄ STRONĘ: www.opaltravel.pl

OPAL TRAVEL ul. Karmelicka 19, 00-168 Warszawa, tel. (22) 636 93 99, (22) 636 94 32, +48 662 257 618



PODRÓŻNOŚCI
Magdalena Żelazowska



ŻYCIE POZAZIMOWE

Od dziecka zazdrozczę ptakom. Nie chodzi tylko o zdolność latania, ale przede wszystkim odlatywania od nieprzyjemnych spraw, na przykład na zimę do ciepłych krajów. Też bym tak chciała. Dziś wiem, że to kwestia czasu.

Gdy co roku wypatruję na szaroburym niebie wesołych czerwonych nóg, zastanawiam się, gdzie u licha podziewają się bociany i ich ciepłolubni koledzy. Złorzeczę, że znów się spóźniają i wyobrażam sobie, jak leniwie wygrzewają się w słońcu, podczas gdy ja brodzę w mieszaninie błota i resztek topniejącego śniegu, który odślania zamrożone pamiątki po psich spacerach. Ostatnio uciekałam i odwiedziłam miejsce, które w chłodne miesiące nadałoby się na ptasią kryjówkę. Okazało się, że zimuje tam ktoś jeszcze.

Kiedy planowałam pierwsze wakacje w powiększonym składzie rodziny, zrozumiałam, że o ile pojawienie się na świecie dziecka nie musi oznaczać wykluczenia z grona turystów, to nieuchronnie przenosi do ich specyficznej podgrupy. Nie trzeba zupełnie rezygnować z podróży,

ale nie da się uniknąć pewnych ograniczeń w ich planowaniu. Należą do nich chociażby: niezbyt długi lot, łagodny klimat na miejscu, kuchnia pozbawiona smakowych ekstrawagancji czy możliwość wygodnego poruszania się z wózkiem. Okazało się, że jako para z niemowlęciem mamy podobne preferencje co... emeryci. To właśnie w ich gronie przyszło nam spędzić tydzień na jednej z Wysp Kanaryjskich (tych bardziej płaskich, żeby nie było zbyt pod górkę).

Już pierwszych kilka kroków po niewielkim nadmorskim kurorcie podpowiedziało mi, że coś jest tu inaczej. Może to ciągnące się od lotniska idealnie przyciężone żywopłoty i kwitnące krzewy uformowane w wyrafinowane kształty. Albo widoczny z samolotu doskonale symetryczny układ ulic i zabudowań. Coś nie zgadzało się też w miejscowej

architekturze. Nie spotkałam ani jednego budynku wyglądającego na zamieszkały przez miejscowych. Mijałam za to równiutkie rzędy pastelowych domków, jakby przeniesionych z różnych południowych krajów. Jedne były w stylu hiszpańskim, o białych ścianach i terakotowych dachówkach, inne, o niebieskich okiennicach – w greckim, jeszcze inne, z charakterystycznymi łuczkami nad wejściami – w arabskim. Do wyboru, do koloru. Przy każdym sektorze wisiała tablica z adresem agenta nieruchomości. Wszystko jasne! Patrzyłam na zimowe gniazda emerytów z zachodniej Europy.

Nasz hotel przypominał jedno z nich. Zarówno pod względem projektu (parterowa zabudowa, brak całonocnej dyskoteki, a zamiast schodów podjazdy), jak i klienteli – przytłaczającą większość gości stanowili seniorzy. Przyjechali tu głównie z Niemiec i Anglii, aby przeczekać, aż w Europie na dobre zrobi się ciepło.

Spotkałam już wcześniej ten typ. Zgrabni, opaleni, wyglądem bardziej przypominają młodych backpackerów niż babcię i dziadka. Czasem z frywolnym tatuażem z czasów młodzieńczych swawoli, w filuternym kapelusiku lub koszulce z napisem „Życie jest lepsze w klapkach”. Widywałam ich na innych południowych wyspach. To pewnie nie przypadek, bo wyspiarze statystycznie żyją dłużej



galileos.pl
sklep internetowy

mapy - plany - przewodniki



Bezpłatny program do nawigacji turystycznej GPS



R E K L A M A

i zdrowiej. Zawdzięczają to lepszemu powietrzu (żadnego smogu!), diecie bogatej w ryby oraz spokojnej egzystencji w żytych ze sobą społecznościach. Seniorzy z Europy na ciepłych archipelagach szukają jednak czegoś więcej niż wygrzewania kości. Chcą poznać sekret nie tylko długowiecznej, ale i szczęśliwej starości.

Podobny cel przyświecał autorowi nieco poźółkłej książki, którą znalazłam w hotelowej biblioteczce z lekturami zostawionymi przez innych gości. „Travels with Epicurus”, czyli „Podróże z Epikurem”, to spis obserwacji Daniela Kleina, amerykańskiego pisarza po siedemdziesiątce, który zamiast zaprzeczać starości, postanowił ją sensownie przeżyć. A wszystko zaczęło się od problemów z uzębieniem. Dentysta polecił Kleinowi usunięcie osłabionych wiekiem zębów i wszczępienie implantów. Zabieg miał być bolesny, kosztowny i rozłożony w czasie na rok. To uświadomiło pisarzowi, jak ślepo podążamy dziś za kultem młodości. Po namyśle uznał, że nie jest gotowy na takie poświęcenie, a zaoszczędzone pieniądze i czas postanowił spożytkować na pobyt na greckiej Hydrze (znów wyspa!). Z walizką wypchaną dziełami filozofów i zamiarem podglądania Greków – mistrzów pogodnej starości – chciał odkryć sposób na wesołe życie staruszka.

Punktem wyjścia stała się dla niego filozofia Epikura, który nie wierzył w życie pozagrobowe i wołał jak najprzyjemniej przeżyć swoje ziemskie dni, czerpiąc z dobrodziejstw każdego wieku. A ten dojrzały był jego zdaniem najlepszy. Natchnięta książkową refleksją, przeżyłam moment oświecenia, kiedy przed wejściem do restauracji spacerówka naszej córki parkowała obok emeryckich chodzików. Oto przewrotnym zrządzeniem losu młodość spotkała starość. I okazało się, że mają wiele wspólnego.

Przed wszystkim – czas. Klein zauważył, że seniorzy, tak jak maluchy, nigdzie się nie spieszą. Jedni i drudzy są wolni od presji, którą nabywamy gdzieś pośrodku życia. Robią wszystko wolniej i w większym skupieniu. A każda czynność służy tylko jej samej, nie innym celom. Jak się bawić, to tylko dla zabawy, a nie poprawienia kondycji czy chwalenia się ciekawą pasją. Jak spacerować, to dla samej przechadzki, bez liczenia odległości, tempa czy postawionych kroków. Jak się przyjaźnić, to tylko dla przyjemności

przebywania w czymś towarzystwie, bez oczekiwania od innych wsparcia, lojalności czy określonych zachowań. Jak mieszkać, to tam, gdzie się komu podoba, a nie gdzie wypada i trzeba. Staruszkowie nie muszą wciąż analizować i robić użytku z każdego doświadczenia czy napotkanej osoby. W ogóle nic nie muszą i mają wszystko w nosie. Jak dzieci!

W czasie wakacji w Kraju dla Starych Ludzi zauważyłam też, że wbrew pozorom seniorzy są bardzo towarzyscy. Nie potrzebowali pretekstu, żeby nas zagadywać i bawić się z naszą kilkumiesięczną córką. Tak świetnie się z nią dogadywali, że zaczęłam liczyć, że zapiszą jej coś w testamentie (jestem widać za młoda,

by myśleć całkiem bezinteresownie). Tak czy siak wakacje, które zapowiadały się nudno, przyniosły nam więcej przyjaźni niż niejedna studencka wyprawa. W dniu powrotu było mi naprawdę smutno. Zastanawiałam się też, ile musi upłynąć czasu, żeby z drinkiem w dłoni przy basenie opalali się polscy emeryci. I chyba już wiem. Dzieli nas od tego tylko jedno pokolenie. Moje. ☺

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.


Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachłanni” i „Hotel Bankrut”.

Prowadzi blog podróżniczy

www.zgubsietam.pl

EKSPRESEM DO GWIAZD

Elżbieta Pawełek

A high-speed train with a red and white livery is crossing a stone viaduct with multiple arches. The landscape is lush green with dense forests and rolling hills under a bright blue sky with scattered white clouds. The train is moving from left to right across the frame.

Za oknem jak w kalejdoskopie zmieniają się krajobrazy. Pociąg pędzi przez doliny, kręci piruety na potężnych wiaduktach, wpada w przepastne tunele. Czasem ociera się o monumentalne góry jak kot. Przez panoramiczne okna świat wydaje się na wyciągnięcie ręki. Jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko natury. I gwiazd.





FOT. ANDREA BADRUIT



KOŁOS NA SZĘŚCIU NOGACH

Wiadukt Landwasser stał się symbolem Kolei Retyckich. Kolos stanął na sześciu kamiennych przęsłach, z których ostatnie przytwierdzono do skały. Budowa trwała półtora roku.

Wszystko zaczęło się w 1889 r., kiedy otwarto trasę z Landquart do Klosters. Miała niewiele ponad 30 km. Dziś się liczy 384 km, a Koleje Retyckie będą niebawem obchodzić 130 lat. Tory prowadzą po malowniczych wiaduktach zawieszonych wysoko ponad dolinami i po okrężnych tunelach. Nie zaburzają ani o jotę piękną krajobrazu. Przeciwnie, kiedy sznur czerwonych wagoników

sunie w stronę zaśnieżonych szczytów i toczy się potężnym wąwozem Renu lub nurkuje w zielone doliny, wygląda to bajecznie.

Odcinki kolejowe Bernina i Albula uchodzą za najpiękniejsze na świecie, a od 2008 r. są na liście UNESCO. Dziewiczy krajobraz i szwajcarska kolej stały się jednością. Pod względem sztuki inżynierskiej to absolutny majstersztyk. Dla budowniczych było to jednak wielkie wyzwanie – musieli pokonać ogromne różnice wysokości, przekroczyć rzeki i wąwozy, przebić się przez skały. Dech zapiera widok wagoników, które balansują na ostrych zakrętach i suną przez surowe doliny. Raz po raz wpadamy w ciemność tunelu, po czym wyjeżdżamy w pełne słońce i zachłystujemy się niesamowitą scenerią. Pociąg przecina półki skalne, wiję jak wąż po rozległych przestrzeniach. Czasem na zboczach da się wypatrzeć kozice, wodospady, wieże zamczków, samotne kościoły... Co zakręt, to gotowy kadr na pocztówkę. Podróż mogłaby trwać bez końca.

UGRYŹĆ GRYZONIĘ

Aby zobaczyć jak najwięcej, lepiej od razu wykupić praktyczny bilet Swiss Travel Pass na kilka dni. Można wtedy wysiadać na wszystkich stacjach, korzystać z lokalnych atrakcji, szlaków górskich i jezior czy zwiedzić urocze miasteczka. Jazda wagonem panoramicznym, który zwykle jest w regularnych składach Ekspresu Bernina, wymaga niedużej dopłaty, zaleca się też wcześniejszą rezerwację. Zawsze jednak można wszystko załatwić z konduktorem, który z uśmiechem wypisze bilet. A opcji jest wiele.

Z biletami Bade-Kombi-Ticket można płać się w termalnych basenach w Engadin Bad Scuol (25 proc. zniżki na wstęp). Natomiast z biletami na pociąg kulinarny – start w Chur, Davos lub St. Moritz – pojedziemy od stacji do stacji, delektując się przysmakami Gryzoni, świeżo sporządzonymi w pokładowej kuchni. Delikatne *carpaccio* czy *capuns*, szwajcarskie gołąbki, dodadzą wyprawie pikanterii...

Sączymy rivellę, lemoniadę z serwatki, nazywaną szwajcarską coca-colą, zakupioną wcześniej w Migrosie (przez oszczędność) i kontemplujemy pejzaże za oknem pociągu. W zachodzącym słońcu połyskują

monumentalne szczyty górskie, najwyższy to Weisshorn (2650 m n.p.m.). Jesteśmy w Arosie. Górski kurort na dzień dobry smaga nas chłodnym wiatrem. To nic, bo hotel Panorama godny jest swej nazwy – okna wychodzą wprost na potężny masyw skalny.

Następnego dnia mgła przesłania cudowną scenę, sypie śnieg, jakby się rozpruła pieczyzna, ale dzielnie ruszamy w trasę „Tropem natury” z prowiantem dla... wiewiórek. Arosa kusi wieloma atrakcjami – jeziora, połowy pstrągów, pole golfowe, loty balonem, setki kilometrów szlaków wędrówkowych i szerokie trasy dla narciarzy (sezon do późnej wiosny). Trochę im zazdrościmy, gdy widzimy, jak śmigają na stokach.

Chwilę później mkniemy naszym ekspresem do Chur. Na odcinku 26 km pociąg pokonuje tysiąc metrów różnicy wysokości i elegancki wiadukt Langwieser. Gdyby tę samą trasę z Arosy do Chur chciał przejechać samochodem, trzeba by pokonać 365 zakrętów! Chur jest najstarszym miastem Szwajcarii i stolicą kantonu Gryzoni, ale nie aspiruje do miana turystycznej mekki. Jest za to świetnym punktem wypadowym do St. Moritz, Davos czy innych miejscowości, które słyną z hucznych karnawałów.

W średniowieczu miasto, które było warownym grodem z sześcioma bramami i dwoma tysiącami mieszkańców, niemal doszczętnie spłonęło. Z pomocą odbudowy pospieszili niemieccy rzemieślnicy. Wkrótce język niemiecki wyparł retoromański, używany przez rdzennych mieszkańców. Do dzisiaj widać tu wpływy niemieckie. Warto przejść się na zażytkową starówkę z XVI w., zajrzeć do ciekawego Muzeum Sztuki Gryzoni i do katedry, której największym skarbem jest gotycki tryptyk.

KOLEJE LOSU

Kolej szwajcarska chodzi dokładnie jak szwajcarski zegarek. Może padać, grzmieć, rozpętać się burza śnieżna, nie ma opóźnień. Równo o 8.58 ruszamy, ciekawi nowych wrażeń. W Thusis wpadamy na jedną z bardziej widowiskowych tras, która wiedzie doliną Albula. Za stacją Tiefencastel wjeżdżamy na ogromny wiadukt Landwasser, który stał się symbolem Kolei Retyckich. Kolos o długości

UPOJNA JAZDA

Ekspres Lodowcowy, zwany szwajcarskim Orientem, w osiem godzin pokonuje trasę St. Moritz – Zermatt. To najwolniejszy ekspres świata. Za to za oknem cudowna panorama, a na pokładzie szampan!



ponad 130 m stanął na sześciu kamiennych przęsłach, z których ostatnie przytwierdzono do skały. Pociąg zwalnia na wiadukcie, celuje w otwór pionowej, skalnej ściany i znika w dwustumetrowym tunelu. Budowa tego cudu techniki ruszyła w 1901 r. i trwała półtora roku.

Nasz postój wypada w niewielkim Bergün, gdzie działa arcyciekawe Muzeum Kolejowe Albula. Zabytkowa lokomotywa Krokodyl z 1926 r., ogromna makieta linii kolejowej, archiwalne filmy i zdjęcia rozpalają naszą ciekawość. Fragment relacji z pociągnięcia kolei z St. Moritz do pobliskiego Samedan: „27 czerwca 1903 r. kolej dotarła do Samedan. Procesja z 21-letnią Klarą, przebraną za królową śniegu, stojącą na podium, które ciągnął zaprzęg koni, ruszyła do St. Moritz uczcić to wielkie święto...”

Łącznie na linii Thusis – St. Moritz, która liczy ponad 60 km, wybudowano 55 mostów i 39 tuneli. Najdłuższy z nich tunel Albula ma

prawie 6 km. Wiercenie rozpoczęto w 1898 r. i zakończono w 1902 r. Szesnastu robotników przypłaciło to życiem. Co miesiąc posuwano się o sto metrów, pokonując skalne szlasy i żyły wodne.

– *W ten sposób kolej przebita się przez niedostępne góry i odmieniła życie Szwajcarów. Choć na początku służyła głównie turystom, bo mieszkańców nie było stać na bilety – mówi nasz przewodnik Sigggi Ritter. – Wykorzystywało ją wojsko w czasie wojny. W pociągu działała kuchnia dla żołnierzy, nawet sala operacyjna, bo nie wszędzie były szpitale.*

Z pobliskiej Predy można się puścić w dół do Bergün na sankach. Sześć kilometrów fajnej jazdy! Z wiosną, kiedy śnieg spływa do rzek, na malowniczych trasach pojawiają się tłumy piechurów i rowerzyści. Bez kolei nie byłoby ich tylu, uważa Sigggi, sam wielki miłośnik sportów.

Do rozwoju turystyki w regionie przyczyniło się dwóch dzentelmenów. Willem

NA TROPIE NATURY

Arosa to miejsce dla miłośników przyrody i sportów. Jeziora, setki kilometrów szlaków wędrówkowych i piękne góry, nad którymi można poszybować balonem lub zjechać z nich na nartach.



FOT. NINA MATTI

POCIĄG DO PIĘKNA

Tory prowadzą po malowniczych wiaduktach ponad dolinami, rzekami i po krętych tunelach. Nie zaburzają piękna krajobrazu, lecz malowniczo się w niego wpisują.



FOT. DASELD

SZWAJCARSKI SZYK

Na gości hotelu Kempinski w St. Moritz już na dworcu kolejowym czeka limuzyna z szoferem. Po podróży relaks w spa, zabawa w kasynie lub kolacja w hotelowej Le Saisons, najlepszej szwajcarskiej restauracji.

Jan Holsboer, Holender, któremu Gryzonia zawdzięcza uruchomienie kolei między Landquart a Davos. I Johannes Badrutt, Brytyjczyk, dzięki któremu St. Moritz stało się słynnym kurortem. W 1856 r. otworzył tam skromny hotel Kulm, który latem zapełniał się turystami z Anglii. Zaproponował więc, żeby przyjechali też zimą. A jeśli im się nie spodoba, zwróci im za podróż. Pojawili się w Boże Narodzenie i zostali do Wielkanocy.

Badrutt proponował im aktywności sportowe: panom curling i wyścigi po naturalnym torze bobslejowym Cresta Run, paniom zaś – przejażdżki sankami po zamrzniętym jeziorze. Jako pierwszy w Szwajcarii wprowadził w hotelu elektryczne lampy, wyposażył go w telefon, windy i ogrzewanie ciepłym powietrzem...

KSIĘŻYCOWY POCIĄG

Dziś St. Moritz jest kultowym miejscem. Już sama podróż do tego alpejskiego kurortu ma odpowiednią oprawę. Możemy dojechać do niego słynnym Ekspresem Lódowcowym, zwanym szwajcarskim Orient Expressem – faktycznie jest najwolniejszy na świecie! Podróż z Zermatt do St. Moritz (niecałe 300 km) zabiera osiem godzin. Ale w tym czasie delektujemy się widokami zza panoramicznych okien i sącym szampana z ukośnych kieliszków, zaprojektowanych tak, aby podczas jazdy nie uronić z nich ani kropli. A każda kropla na wagę złota: szampan – 38 franków szwajcarskich, prosecco – 11, campari – 6. Bardziej opłaca się zamówić zupełny dzień za 12 franków. Ze stacji kolejowej, jeśli mamy szczęście mieszkać w Kempinski,

odkrywaj z nami

zabierze nas szofer rolls-royce'em. A jeśli nie, zawsze można podjechać taksówką. Nasz hotel Laudinella ma wszystko, co trzeba, choć pewnie rozczarowałby Badrutta.

Ostatnim akordem tej niezwykłej podróży jest przejazd pociągiem panoramicznym przy świetle księżyca. Nasz Full Moon Train startuje o szóstej wieczorem, sunie pod górę przez zimne połacie lodowca Morteratsch, mijają po drodze jezioro Bianco. Na postój możemy liczyć dopiero w restauracji Alp Grum (2091 m n.p.m.), gdzie będzie serwowane lodowcowe fondue.

Wracamy potem pociągiem przy zgaszonych światłach i dźwiękach muzyki klasycznej, wpatrzeni w przestrzeń skutą lodem. W nocy góry są jeszcze bardziej magiczne, a gwiazdy świecą tu jaśniej niż wszędzie. Przy odrobinie szczęścia można cieszyć się pełnią księżyca...

Ze stacji kolejowej wracamy do hotelu pieszo. Światła miasta odbijają się w jeziorze St. Moritz, na którym zimą rozgrywają się słynne zawody polo na śniegu. Na trybunach widuje się wtedy polityków i księcia Karola. Szwajcarzy żartują, że ci, którzy dopiero pracują na swój pierwszy miliard, mieszkają po jednej stronie jeziora, w skromniejszym St. Moritz Bad. Ci zaś, którzy już go zarobili – po drugiej, w St. Moritz Dorf. Na szczęście całej reszcie pozostają marzenia. A gwiazdy wszystkim świecą tak samo. ○



📍 niesamowite przeżycia

📍 podróże doskonałe

📍 wyjątkowe autorskie trasy

Pascal

www.pascal.pl/lonelyplanet

R E K L A M A

GWIAZDY NAD GWIAZDAMI

St. Moritz przyciąga sławy. Bywała tu Marlena Dietrich, Greta Garbo, Audrey Hepburn, Brigitte Bardot i Charlie Chaplin. Alfred Hitchcock spędził tu nawet miesiąc miodowy i z żalem wyjeżdżał...



Elżbieta Pawelek

Dziennikarka, narciarka, żeglarka i podróżniczka. Pływała katamaranem na Karaibach, leciała balonem w Afryce, podglądała rekiny na Bora Bora. Ale nie wyobraża sobie zimy bez szusowania w Alpach.



Kamil Bodziony

MAGICZNY AUTOBUS

Opuszczony, zielono-biały autobus stoi pośród alaskańskiej tundry. Nie byłoby w nim nic nadzwyczajnego, gdyby pewnego dnia ktoś nie nazwał go magicznym i nie postanowił w nim zamieszkać.



KU CZCI SUPERTRAMPA

Christopher po zakończeniu studiów zapragnął zmienić dotychczasowe życie i ruszyć w świat. Pozbył się samochodu, pieniędzy, dokumentów. Zerwał ze wszystkim, co jego zdaniem było ograniczeniem i nie pozwalało dostatecznie cieszyć się otaczającym go światem. Za cel obrał Alaskę, na której postanowił przeżyć zimę pośród tundry, zdany tylko na siebie, swoje umiejętności i wiedzę, którą miał zamiar zdobyć w drodze.

Historia młodego chłopaka, opisana przez Jona Krakauera, a następnie zekranizowana przez Seana Penna w filmie „Wszystko za życie” („Into The Wild”), obiegła świat i przyciągnęła na szlak prowadzący do miejsca życia bohatera setki śmiałków. Zaprowadziła również nas – mnie i moją partnerkę Martę.

Magiczny Autobus to symbol walki o wolność i spełnienie marzeń. Wędrówka do niego to oddanie szacunku osobie, która postawiła wszystko na jedną kartę i ruszyła w podróż, by spełnić swoje najskrytsze marzenie. Christopher przyjął w trakcie podróży imię Alexander Supertramp i ostatecznie zerwał z dotychczasowym życiem, pokazał sobie i innym, że można iść za głosem serca, robić to, co czujemy, a co nie zawsze jest do końca racjonalne i rozumiane przez resztę.

Z naszą podróżą było podobnie. Nie chciałem za kilka lat w gronie mi podobnych wzdychać, jak to fajnie byłoby tam pojechać i spełnić swoje marzenie. Zamiast marzeń pokażę zdjęcia, zamiast planów opowiem przeżyte przygody.

P przed wyjazdem na Alaskę wiedzieliśmy jedno: niezależnie kiedy i w jaki sposób chcemy się dostać do Magicznego Autobusu. Tego samego, w którym 25 lat temu Amerykanin Christopher McCandless postanowił zamieszkać i spędził w nim – jak się później okazało – ostatnie dni swojego życia.



FOT. KAMIL BODZON

PRÓBA WODY

Rzeka Savage, pierwszy i łatwiejszy test na szlaku, który szybko weryfikuje zapał wędrowców.

ŚLADAMI ANTYMONU

Aby dostać się do celu, należy odbyć 30-kilometrową pieszą wędrówkę Szlakiem Stampede. To stara górnicza droga nieopodal miejscowości Healy, stworzona w latach 30. przez Earla Pilgrima. Niegdyś miała służyć jako szlak komunikacyjny dla ciężarówek, prowadzący do złóż antymonu. Dziś to opuszczony przez cywilizację teren, w którym na własnej skórze można poczuć bezkres i siłę Alaski.

Szlak, jak i nasza wędrówka, zaczyna się niepozornie szerokim szutrowym parkingiem, gdzie stoją dwa kampery. Oznacza to, że nie będziemy sami, wszak nikt nie zapuszcza się w te rejony, jeśli nie ma na celu przedostania się do autobusu. Jemy ostatni posiłek, plecaki wypychamy po brzegi kupionym wcześniej jedzeniem i zanim na dobre ruszamy, spotykamy osoby, które kilkanaście minut wcześniej wróciły ze szlaku.

Nazwałem ich „komandosami”, czteroosobowy zespół specjalny, którego jedynym zadaniem było osiągnąć zamierzony cel. Trzech chłopaków i dziewczyna, ponad dwadzieścia pięć lat, przyjechali z Teksasu. Zabrali ze sobą wszystko, co tylko możliwe i niezbędne, aby przekroczyć największe wyzwanie szlaku, rzekę Teklanikę.

Ubrani w kalosze, z wodoszczelnymi plecakami, linami i siekierami, po trzech dniach wędrówki i prób przedostania się postanowili odpuścić. Zatrzymało ich to, czego obawia się każda osoba, która idzie szlakiem – zbyt wysoki poziom rzeki. Spotkanie ich było jak wyrocznia, która mówi, że coś jest niewykonalne zaraz przed tym, gdy zamierza się to zrobić. Nie ostudziło to jednak naszych zapałów. Bogatsi w doświadczenia poprzedników ruszyliśmy przed siebie.

MOKRA PRZEPRAWA

Sam szlak nie jest trudny dla osoby z doświadczeniem w pieszych wędrówkach. Praktycznie płaska, prosta droga pośród drzew nie sprawia żadnych problemów nawigacyjnych i technicznych. Może poza jednym – wodą.

Piękny szutrowy szlak skończył się tuż za rogiem, gdy po raz pierwszy zanurzailiśmy nogi po kolana w ogromnej kałuży. Od tego momentu woda pojawiała się na szlaku częściej, niż moglibyśmy się tego spodziewać. Błoto, bagno, wylewające i przecinające trasę rzeki, nawet takie, które płynęły przez środek drogi i nie dawały innego wyboru, jak tylko maszerować w lodowatej wodzie. Kolejne kilometry



FOT. KAMIL BODZON

OKAZJĄ PO TUNDRZE

Za równowartość kilkuset złotych można poprowadzić sześciokołową amfibię przed środek alaskańskiej głuszy. Okazało się, że można także złapać ją na stopa.

to, poza piękną scenerią znajdującego się nieopodal Parku Narodowego Denali, brodzenie w wodzie, która występowała w każdej możliwej odmianie.

Po dwóch godzinach podjechały do nas trzy sześciokołowe, czteroosobowe amfibie. Okazało się, że w domku znajdującym się tuż przed szlakiem można wypożyczyć takie pojazdy wraz z przewodnikiem. Kilka minut później mknęliśmy nimi przez alaskańskie bezdroża. Tym samym amfibia stała się najdziwniejszym dotychczas pojazdem złapanym przez nas na stopa. Wycieczka została nas kilka kilometrów dalej. Zaoszczędziliśmy ponad godzinę drogi wprost przez środek płynącej rzeki.

Do pierwszej, mniejszej, rzeki Savage docieramy przed 21. Na szczęście bardzo długie o tej porze roku dni sprzyjają późnej wędrowce. Zdaniem dotychczas spotkanych osób pierwsza rzeka to przystawka, którą powinniśmy łatwo przekroczyć. Postanawiam przejść ją na próbę. Chcę mieć pewność, że jeśli jest niebezpieczna i niemożliwa do przebycia, pozostanie taką tylko dla mnie. Pierwsze wejście to niepewność i nieufność wobec bystrego nurtu i kamienistego podłoża rzeki, która sięga mi prawie do pasa. Jednak mi się udaje.

Po ponad godzinie sprawdzania możliwych opcji, przygotowywania plecaków oraz siebie mentalnie na to, że może być niebezpiecznie, przechodzimy już wspólnie na drugą

TEKLANIKA DZIKA

Półtora miesiąca wędrowki przez USA i Kanadę i dziesiątki godzin przygotowań musiało zakończyć się tak blisko celu. Wezbrany nurt Teklaniki często zawraca z tego szlaku wędrowców.



FOT. KAMIL BODZON



DOM SUPERTRAMPA

W stworzonym na potrzeby filmu autobusie są odwzorowane warunki, w jakich bohater spędził alaskańską zimą.

ZEGNAJCIE

Jedno z ostatnich zdjęć Christophera, które zrobił sobie przed śmiercią. Jak wiele innych, można oglądać je wewnątrz repliki autobusu.

stronę. Zmęczeni i przemoczeni, rozbijamy namiot nieopodal drogi i suszymy ubrania przy ognisku.

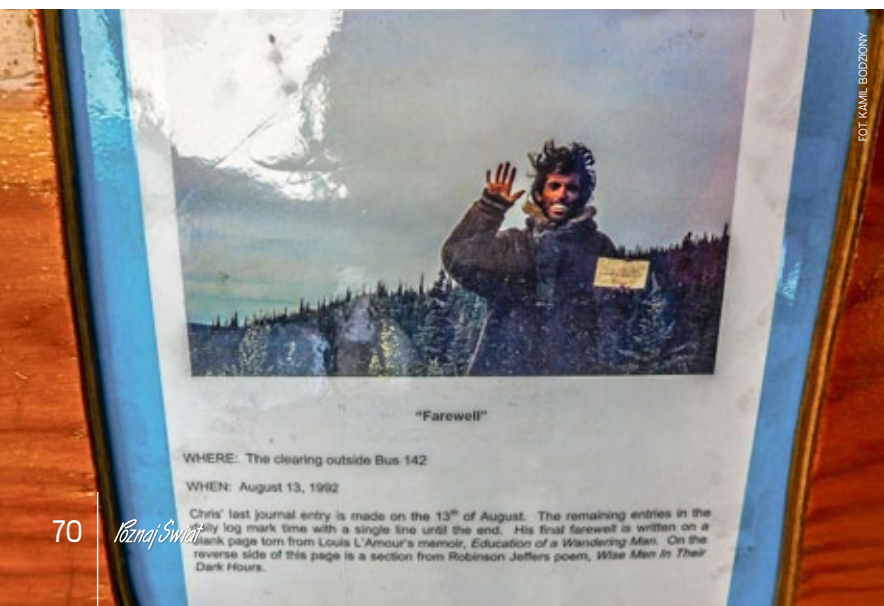
PO DRUGIEJ STRONIE SZCZĘŚCIA

Tej nocy pierwszy raz w życiu czuję otaczającą nas pustkę. Zastanawiam się, czy nie

zainteresuje się nami niedźwiedź bądź łoś. Przekroczyliśmy rzekę, co oznacza, że jeśli stanie się coś poważnego, możemy mieć spore problemy z powrotem. W miejscu takim jak to nigdy nie wiadomo, kiedy spotka się ludzi. Nawet amfibia tak daleko się nie zapuszczają. W sytuacji kryzysowej człowiek jest zdany tylko na siebie.

Po kilku godzinach snu zrywamy się rano. Chcemy jak najszybciej dotrzeć do najważniejszego sprawdzianu na szlaku – Teklaniki. Przed nami kolejne godziny brodzenia w błocie (na szczęście znacznie mniejszym), przedostawanie się przez płynące środkiem drogi strumienie i zastanawianie się, na ile rzeka będzie dla nas łaskawa.

Około południa docieramy do znacznie większej, szybszej i przeraźliwie zimnej Teklaniki, zasilanej ze znajdujących się poza zasięgiem wzroku lodowców Alaska Range. To nie przelewki, szeroka na 30 m rzeka sprawia, że w pełni rozumiemy niepowodzenie „komandosów”.



Tak blisko, a jednocześnie tak daleko. W głowie miałem całą naszą przebytą podróż, kilkanaście tysięcy kilometrów przez Stany Zjednoczone i Kanadę. Podróż, która zostaje zatrzymana przez rzekę. Pomimo usilnych prób w różnych miejscach i w różny sposób nie udaje nam się przedostać na drugą stronę. Dajemy za wygraną.

Na niepozornym szlaku prawie każdego roku zdarzają się wypadki. Do akcji, często niezwykle trudnej do zrealizowania, są wzywane służby ratownicze. Pełnych zapału, chęci, ale nieprzygotowanych włóczęgów spotyka lekcja pokory. Niektórzy kończą tragicznie, o czym każdy, kto przekracza rzekę Savage, może przekonać się na własne oczy. Stoi tam mały, usypany z kamieni, symboliczny grób Francuzki Claire Ackermann. Też chciała dostać się do autobusu.

Najczęściej kończy się na strachu, gdy po przekroczeniu rzeki jej poziom i nurt okazują się całkowicie inne, co powoduje odcięcie śmiałków od cywilizacji. Dokładnie to spotkanie dwóch podróżników ze Stanów Zjednoczonych trzy tygodnie przed nami, o czym rozpiszywały się największe alaskańskie media.

Choć autobus był naszym celem, nie podejmujemy ryzyka dostania się do niego za wszelką cenę. „Wolność to świadomość porzucenia możliwości” – powiedział podróżnik Łukasz Gołacki i my z tej wolności korzystamy, pozostawiamy nasz cel po drugiej stronie.

WSZYSTKO ZA ŻYCIE

Podłamani niezrealizowanym zadaniem, wracamy do punktu wyjścia. Przed nami ponowne brodzenie w tym samym błocie, przekraczanie rzeki i miliony komarów. Całe szczęście kilka godzin później spotykamy naszych znajomych z wypożyczalni amfibii, którzy znowu zabierają nas w podróż. Zaoszczędzamy kilkanaście kilometrów marszu.

– *Cieszę się, że jesteście cali. Myślałem o was. Jesteście podobni do mnie i mojej dziewczyny. Też podróżujemy i też szukamy przygód* – powiedział Bo, jeden z kierowców, i chwilę później zaproponował nam rozbicie namiotu przy jego domku.

Rano Bo zabiera nas do Healy, małej miejscowości nieopodal szlaku. A tam... niespodzianka. Drugi Magiczny Autobus! Jak to możliwe? Na potrzeby filmu ekipa stworzyła replikę. Jest dostępna publicznie i – co najważniejsze – można się do niej dostać bezpiecznie. Autobus stoi obok restauracji, zaraz przy drodze krajowej numer 3.

Nie trzeba ryzykować zdrowia i życia. Nie trzeba walczyć z dziką Teklaniką. Tą samą rzeką, która zatrzymała Christophera. Kiedy wycieńczony i konający z głodu chciał wrócić do cywilizacji, uniemożliwił mu to wzebrany nurt. W swoim dzienniku napisał: „Katastrofa... Zalany. Rzeka wygląda niemożliwie. Samotny, przerażony”. Zmarł w Magicznym Autobusie. ○



Kamil Bodziony

Promuje świadome podróżowanie. Twierdzi, że podróż to dopiero początek. Zafascynowany krajami Północy i miejscami, których nie ma na mapach. Autor bloga tinteller.pl

R E K L A M A

By poznać siebie, czasem trzeba najpierw poznać inny kontynent

O emigracji do Teksasu, kulturze latynoamerykańskiej i fascynacji życiem w debiutanckiej książce Anny Daleki

ANNA DALEKI

THE REDHEAD
DALEKI ZA OCEANEM

WYDAWNICTWO
DYGRESJE





NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady





FOT. SHUTTERSTOCK

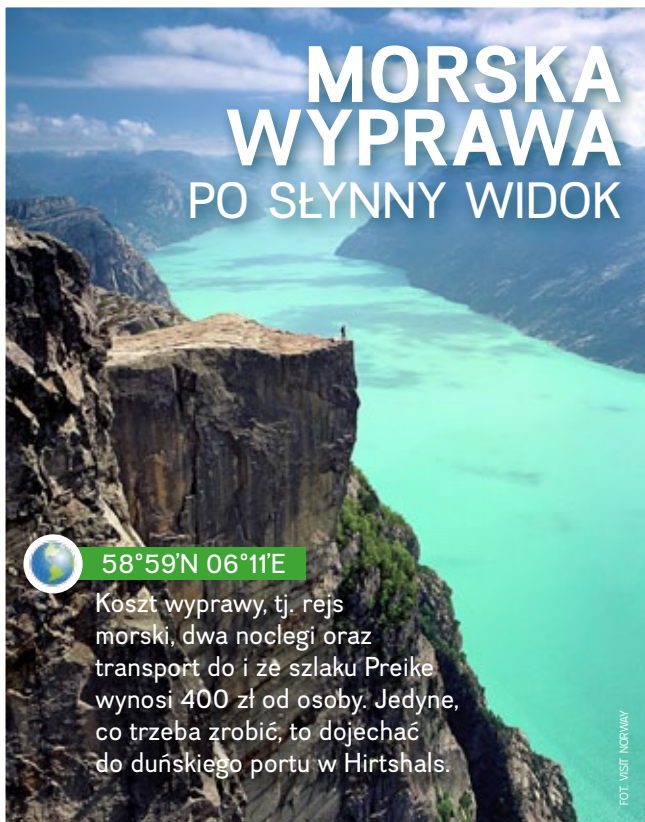
Ojciec Teide

Teneryfa to największa i najludniejsza z siedmiu Wysp Kanaryjskich, bardzo zróżnicowana krajobrazowo i klimatycznie. Skrywa mnóstwo skarbów, a tych największych należy szukać w kierunku przeciwnym do drogi na plażę. W centrum wyspy mieści się wpisany na listę UNESCO wulkan Teide, zwany przez wyspiarzy Ojcem Teide. To jedna z największych atrakcji Kanarów. Szczyt czynnego wulkanu jest najwyższym w Hiszpanii (3718 m n.p.m.), a jego wierzchołek można podziwiać z praktycznie każdego zakątka Teneryfy.



28°16'N 16°38'W

Park Teide znajduje się mniej więcej w środku wyspy, ok. 50 km od lotniska południowego Teneryfa Sur oraz niecałe 60 km od lotniska północnego Teneryfa Norte Los Rodeos.



MORSKA WYPRAWA PO SŁYNNY WIDOK



58°59'N 06°11'E

Koszt wyprawy, tj. rejs morski, dwa noclegi oraz transport do i ze szlaku Preike wynosi 400 zł od osoby. Jedyne, co trzeba zrobić, to dojechać do duńskiego portu w Hirtshals.

FOT. VISIT NORWAY

Norwegia Preikestolen

Skalna ambona nad Lysefjordem niedaleko Stavanger to jeden z turystycznych symboli Norwegii i jedna z największych atrakcji przyrodniczych na świecie, zamieszczana na tzw. *bucket list* – liście miejsc, które warto zobaczyć za życia. Wiosna to najmniej deszczowy okres w Norwegii, a więc idealna pora na podziwianie tego cudu natury.

Do Preikestolen co roku przyjeżdża ponad 100 tys. turystów. Szlak jest malowniczy i bardzo dobrze przygotowany. Po drodze mija się małe jeziora, duże głazy skalne, jednak tę ponad 2-godzinną trasę pokonuje się po to, żeby zobaczyć widok ze skalnej półki na rozciągający się w dole fiord.

Aby tam dotrzeć, warto pomyśleć o podróży morskiej. W sezonie wiosennym Fjord Line oferuje 3-dniowy rejs na trasie Hirtshals – Stavanger połączony z transportem autokarowym pod szlak na Preikestolen. Oprócz zaliczenia jednego z punktów ze swojej *bucket list* można także przeżyć morską przygodę na pokładzie jednego z najnowocześniejszych promów w Skandynawii.



FOT. MACEJ KARPINSKI

www.fjordline.com/pl

Po zdrowie i słońce

Polskie serce przyrodolecznictwa ma dziś do zaoferowania znacznie więcej niż turnusy dla kuracjuszy. Busko-Zdrój, wpisane w piękny krajobraz Ponięcia, bogate w stężone wody siarczkowe, stało się centrum nowoczesnego SPA. Okoliczne hotele kuszą na wiele sposobów. Wspaniale odrestaurowany, secesyjny Bristol trzyma stylowy szyk. Karta zabiegów przypomina eleganckie menu, a lobby mieści niewielką galerię sztuki. Hotel Słoneczny Zdrój przyciąga świetnym zapleczem rehabilitacyjnym oraz kuchnią wyróżnioną przez przewodnik Gault&Millau. Regionalne produkty zmieniają się tam w kulinarne arcydzieła. W sąsiednim Solcu-Zdroju znajduje się jedyny w Polsce gorący basen solankowo-siarczkowy. W tym samym kompleksie grupa specjalistów uczy saunowania według wszelkich prawideł sztuki. Zimą, kto odważny, może dać susa do przerębła wykutego w lodzie!

 50°28'N 20°43'E

Do miasta najlepiej dojechać drogą krajową nr 73, która mniej więcej w połowie trasy Kielce – Tarnów przecina Busko-Zdrój.

Aby poznać lokalne atrakcje i smaki regionu, warto wstąpić na Słoneczny Szlak: trasę wiodącą przez malownicze pagórki i wioski, usiane licznymi kapliczkami i przydrożnymi świątkami. Szlak zahacza o winnicę Zbrodzice, ukrytą wśród rozległych łąk i sadów. Rocznie powstaje w niej 4500 litrów świętego wytrawnego wina Herbowego. Prowadzi też do wsi Pęczelice, gdzie w Pivniczce pod Kogutem można spróbować unikalnego wina czereśniowego.

Wszechobecny w okolicy motyw słońca to nie tylko nawiązanie do herbu Buska-Zdroju. To także przypomnienie, że region należy do najbardziej słonecznych w Polsce. Dodatkowa zachęta do jego odwiedzenia!



Wioska kapitańska

Kasmu to niewielka miejscowość na wybrzeżu Estonii, w Parku Narodowym Lahemaa. Kapitańska wioska, bo taki zyskała przydomek, kiedy jeszcze funkcjonowała tam szkoła żeglugi morskiej (na 100 rodzin było tam aż 60 kapitanów), to wymarzone miejsce dla zapalonych rybaków, fanów żeglarstwa czy kajakarstwa. Kasmu to idealny wybór na urlop w ciszy i spokoju, na łonie natury, z dala od zgiełku miasta i zatłoczonych, komercyjnych terenów.

Największą atrakcją, poza cudownym wybrzeżem i malowniczą okolicą, jest Kasmu Meremuuseum. Nieduże, prywatne muzeum morskie to dzieło jednego człowieka, który z wielką starannością zadbał o nastrój tego miejsca. W budynku cofamy się w czasie do momentu, w którym wioska żyła tylko dzięki wyprawom w morze. W niezliczonych pokojach znajduje się wszystko to, co miało jakikolwiek związek z morzem: rysunki, obrazy, zdjęcia, mapy, kotwice, liny, sieci, a nawet repliki statków. W muzeum możemy też liczyć na pyszną kawę i obiad, a to wszystko z pięknym widokiem aż po horyzont.



 59°36'N 25°55'E

Kasmu mieści się w Parku Narodowym Lahemaa, 80km na wschód od Tallina – stolicy Estonii.

Polski Caravaning

*Podróż przecież nie zaczyna się
w momencie, kiedy ruszamy w drogę,
i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety.*

Ryszard Kapuściński



Zaprenumeruj 6 wydań za 75 zł

prenumerata@polskicaravaning.pl, tel. 58 777 01 25-28 wew. 308, tel. 604 407 079

www.polskicaravaning.pl



FOT. ŁUKASZ DŁUGOWSKI

ZJEŚĆ LAS

Ameryce Południowej zawsze zazdrościłem Amazonii. W każdym oglądanym przeze mnie filmie dokumentalnym przewodnik, który oprowadzał ekipę, podchodził do liany, przecinał ją maczetą i pił z niej wodę. Albo zrywał liście, miażdżył je na papkę, mieszał z popiołem i miał lekarstwo np. na rany. Gdzie się nie ruszył, znajdował coś, co nadawało się do jedzenia, picia albo leczenia. Sklep z samoobstugą.

Zazdrościłem im, bo nie widziałem tego w naszych lasach. Bo co my mamy? Świerki, sosny, trochę grzybów i jagód. Biednie. Od kiedy zacząłem śledzić fanpage „Roślinne porady”, przekonałem się, że nie tyle nie mamy, ile że ja tego nie widzę. Że mogę schować zazdrość w kieszeń

i ruszyć w teren. Ruszyłem z Sebastianem Kulisem, który stworzył ten fanpage.

– Jako 17-latek pojechałem do Szwecji. Mieszkałem u znajomych, którzy mieli ogród z warzywami. Za każdym razem, kiedy gotowali, chodzili tam coś zrywać. Tak mi się to spodobało, że kiedy wróciłem do Polski, postanowiłem założyć taki sam

u rodziców w ogrodzie. – Sebastian zaczął czytać o roślinach, a z czasem, żeby jakoś uporządkować sobie tę wiedzę, założył stronę i profil.

Żeby coś zjeść, zabrał mnie do ogrodu botanicznego w parku Oliwskim. Od razu uczeplił się jemiolo. Zaczął o niej opowiadać i gdybym mu nie przerywał, mógłby

tak cały dzień: że druidzi uważali ją za dar od bogów, że rozsiewa się wraz z ptasim łąnem i dlatego wyrasta w różnych dziwnych miejscach na drzewach, że z drobno posiekanych liści można zrobić herbatę, a owoce są niejadalne, ale można z nich robić maści na zmiany skórne: od podrażnień, przez rany, po oparzenia. Chodziliśmy po alejkach, a on płynął. Jakby wypluwał z siebie wszystkie książki, które przeczytał na ten temat.

Mnie bardziej fascynowały nasze iglaki, najbardziej pospolite drzewa Polski. Da się zjeść? – *Młode pędy sosny można jeść na surowo, z igieł można robić herbatę albo zetrzeć je i zrobić maść rozgrzewającą. Można też jeść szyszki, ale to już jest naprawdę hardcore i nie ma smaku* – tłumaczył.

Dzika róża, klasyka. Wiadomo, że można zrobić herbatę, ale co więcej? – *Właściwie to są dwie dzikie róże. Ta, którą nazywamy tak zwyczajowo, pomarszczona. I ta podłużna, nazywana psią różą, bo kiedyś leczono nią wścieklicznę. Ma o wiele więcej witaminy C niż róża pomarszczona. Ze świeżych płatków utartych z cukrem powstaje pyszna konfitura, z suszonych – herbata.*

Wszystko pięknie, ale ja chciałem coś zjeść. Poczuć się jak w Amazonii – podejść do drzewa, zerwać coś i zjeść. – *Pączki leszczyny, proszę.* – Sebastian zerwał niewielki pączek, krótszy niż zapalka. Ugryzłem kawałek, przeżutem i połknąłem.

– *Bez smaku.*

– *Bo one nie mają smaku. Najczęściej macza się je w miodzie albo w syropie, żeby nadać im jakiś smak. Ale za to ile mają wartości odżywczych!*

Sebastian ożywił się i zaczął energicznie opowiadać o cudzie, którym są pędy, pączki i kielki. – *To są bomby nafaszerowane witaminami. Uważamy, że najlepsze, co możemy dostać, jest w owocach, ale to nieprawda. W nich tego, co dobre, jest mniej, jest rozwodnione. A w takich pączkach, albo pędach, z których ma wyrosnąć drzewo, jest tego masa. I to skoncentrowane do granic.*

Wychodzi na to, że lepiej jeść pączki niż owoce, choć owoce smaczniejsze. Na pewno dobrze jeść zielsko. W tej kategorii do jedzenia nadaje się niemal wszystko poza trawą: mniszek lekarski, pospolicie zwany dmuchawcem, cały jest jadalny – korzeń, liście i kwiat. Z żółtych kwiatów zasypanych cukrem powstaje pyszny syrop, liście nadają się na sałatkę, a korzenie są badane pod kątem

walki z rakiem. Bardzo zdrowy jest czosnek niedźwiedzi, który co prawda jest pod ochroną, ale można go uprawiać w ogródku. Trzeba wachać jego liście – pachną jak czosnek – żeby nie pomylić go z konwalią.

– *Z kolei młode, jasnozielone listki pokrzywy to obietnica pysznej sałatki. Spokojnie można nimi zastąpić szpinak, rukolę albo rozspankę.*

Z ogrodu przeszliśmy w okolice Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego.

– *Na granicy lasu, na łąkach, łatwiej będzie znaleźć zioła, pokrzywy i krzewy. W lesie rośliny „sałatkowe”: młode liście podagrycznika, czosnaczka, szczawiku zajęczego, komosy białej i wielu innych, uważanych za chwasty.*

Wpadliśmy na czarny bez i Sebastianowi znowu włączył się flow. Opowiadał, jakby był w tym bzie zakochany.

– *To powinien być nasz towar eksportowy. Z czarnego bzu można zrobić wszystko: soki, nalewki, herbaty, konfitury. Zdrowe są i kwiaty, i owoce, które mają działanie moczopędne, przeciwgorączkowe i przeciwbólowe. Owoce poleca się jako środek odtruwający krew, pomagający usuwać z organizmu toksyny.*

Myślałem, że to jest trujące i podobne do wilczej jagody. Pytam, jak je rozróżnić.

– *Wcale nie są podobne. Krzak wilczej jagody jest niski, sięga mniej więcej do pasa. Krzak czarnego bzu ma 2–3 m wysokości. Owoce pierwszego rosną pojedynczo, drugiego rosną w grupie, w gęstych kiściach.*

Kręcimy się wokół stawu obrośniętego wierzbami. Za czasów liceum Sebastian uciekał tu na fajki i piwo.

– *Jeśli chodzi ściśle o drzewa, to niewiele jest rzeczy jadalnych. Liście się nie nadają z żadnego, z niektórych kora tak, ale nie próbowałbym, bo po co? Żadnej przyjemności. Szukałbym raczej po krzewach.*

Jego ulubionym jest rokitnik.

– *Wiele osób kocha się w jagodach goji, a pod nosem roślinie im również dobry rokitnik, który ma np. 20 razy więcej witaminy C niż cytryna. Rosjanie nazywają go „złotem Syberii”, bo ma ponad 190 substancji bioaktywnych, w tym potas, żelazo, bor, wapń, nienasycone kwasy tłuszczowe, antyoksydanty i witaminy: A, C, D, E i inne. Jeszcze lepsze jest to, że zawarta w nim witamina C prawie w ogóle nie rozkłada się podczas gotowania.*

Sebastian w ogóle nie jest fanem modnych *superfoodsów*. Uważa, że to samo

możemy znaleźć u nas, tylko nie wiemy, gdzie szukać.

– *Moim ulubionym superfoodsem jest czosnek. Ma wszystko, czego potrzeba: działą grzybobójczo i chorobobójczo, a na dodatek jest naturalnym ulepszaczem smaku. Dla mnie jedyny możliwy posiłek bez niego to deser. Poza tym moda na superfoods to w dużej mierze kwestia marketingu.*

Przechadzamy się po lesie bukowym, a Sebastian opowiada, jak modne i hipsterskie warzywa jarmuż i topinambur były kiedyś warzywami plebejskimi.

– *Na początku XX w. jarmużem karmiono konie, a topinambur był równie pospolity, jak ziemniaki. Oba warzywa kojarzyły się z biedą, więc kiedy tylko po wojnie poprawiła się sytuacja materialna, ludzie zaczęli pamiętać o nich, tak jak porzucili pamięć o tamtych ciężkich czasach.*

Pierwsza rzecz, która pojawia mi się w głowie, kiedy pomyślę o zjedzeniu czegoś dziko rosnącego, to śmierć w konwulsjach. Jak się nie otruć?

– *Po pierwsze: nie jesteś pewien, nie zbieraj. Po drugie: w Polsce naprawdę niewiele roślin jest trujących. Niektóre mogą nas podtruc, spowodować wymioty, ale zabije niewiele. Zabić może niewinnie wyglądająca konwalia. Wystarczy wypić wodę z wazonu, w którym stały te kwiaty, żeby poważnie się rozchorować. Jakims rozwiązaniem jest jedzenie przetworzonych roślin i owoców: ugotowanych, przemienionych w konfitury albo w postaci nalewek. Alkohol zabija wszystko, co złe, i wyciąga to, co najlepsze. ○*

Informacje praktyczne:

- Miejsce: Ogród botaniczny w Oliwie oraz Trójmiejski Park Krajobrazowy.
- Czas: 2–3 h.
- Co zabrać: brak specjalnych wymagań.
- Koszty: do ustalenia indywidualnie (www.roslinneporady.pl).
- Poziom trudności: brak, dostępne cały rok, choć najciekawszy okres to wiosna – lato.

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy

A black and white photograph showing the silhouettes of several people in a landscape. On the left, a stone wall is visible. In the background, there are large, dark trees. In the foreground, a group of people is gathered, some appearing to be engaged in an activity on the ground. The overall scene is backlit, creating a high-contrast silhouette effect against a bright sky.

CZARNO-BIAŁA

Nazwisko van Riebeeck jako pierwszy wypowiedział krępy Zulus Joe, gdy już jechaliśmy do Siphezi. Zaraz zastrzegł jednak, że historia jego kraju jest znacznie dłuższa, a w 1652 roku, gdy Holender dobijał do brzegu, nikt nie wyobrażał sobie, że to początek białej dominacji. Zaczynało się skromnie, gdy przymierający głodem osadnicy okopywali się w koślawej bazie na skrawku lądu otoczonym morską wodą. Półtora wieku wcześniej Portugalczycy nazwali go Przylądkiem Dobrej Nadziei, bo jego osiągnięcie dawało nadzieję na dopłynięcie do Indii. Teraz, gdy droga ta była dawno otwarta, pałeczkę pierwszeństwa przejmowali Holendrzy.



HISTORIA

Piotr Porayski-Pomsta

Jan van Riebeeck, kupiec w służbie Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, nie miał duszy poszukiwacza przygód. Zależało mu na synekurze w Indiach, a plany chciał zrealizować poprzez podsuniecie odważnego, aczkolwiek nieoryginalnego projektu zbudowania na przylądku bazy. Zgłosił się na ochotnika i mimo że nie miał ani układow, ani protekcji, zdołał dopiąć swego. Na przylądku osadnicy mieli zaopatrywać statki w świeże owoce, warzywa i mięso, zapewnić opiekę chorym żeglarzom oraz naprawiać uszkodzone okręty. Taki był plan.

PRAWEM BURA

Od początku wszystko szło jak po grudzie. Van Riebeeck nie tylko nie dysponował prawie żadnymi narzędziami, ale do tego podlegający mu żeglarze okazali się zabijakami i obibokami. Van Riebeeck słał do Amsterdamu skargi i prośby o wsparcie. Bezskutecznie. Tym bardziej że przez pierwsze lata baza okazała się zupełnie bezużyteczna, bo mimo szczerych wysiłków stanowiła głównie ciężar dla Kompanii – to raczej załogi statków ratowały osadników od śmierci głodowej niż na odwrót. Dopiero dwadzieścia lat po wyjeździe van

WIECZÓR W SIPHEZI

Zabudowa wioski jest luźna, w centrum tylko szkoła, sierociniec i sklep, więc miejsca na spotkania przy ognisku w bród.



FOT. POTR. PORAWSKI-POWSTA

DZIEŁO PANI SOPHIE

Tutejszy sierociniec powstał w 2010 r. z inicjatywy belgijskiej pielęgniarki Sophie Vangheel i jej NGO „Cunina”. Ta organizacja zrealizowała ponad 90 projektów edukacyjnych na 3 kontynentach, w ramach których 12 tys. dzieci otrzymało wykształcenie.

Riebeecka baza zaczęła funkcjonować. Na jej komendanta mianowano wówczas niejakiego van der Stela, który wyruszył odważnie w głąb lądu i zaczął sadzić winnice, uprawiać ziemię, budować ogrody oraz zakładać pierwsze miasta. Ziemi było w bród, tylko brać!

Co ciekawe, Van der Stel, którego ogłoszono pierwszym Afrykanerem, był rasowym mieszancem. To, co nie przeszłoby w drugiej połowie XX w., było obojętne w początkach afrykańskiej epopei. Burowie, afrykanerscy farmerzy, dopiero w kolejnych pokoleniach przemieniali się w modelowych rasistów, którzy stworzyli takie indywidualia, jak Hendrik Verwoerd, ojciec apartheidu, czy Eugène Terre'Blanche, ostatni pogromca czarnych. Wszystko dlatego, że gdy oddalali się coraz bardziej od cywilizacji, Burowie zaczęli dziczeć. A im bardziej dziczeł, tym silniejsze było w nich przeświadczenie o własnej wyższości. Żywili szczere przekonanie, że przywilej ów nadał im sam Bóg, tworząc ludzkie rasy i gwarantując im pośród nich pierwszeństwo. A ponieważ żyli na odludziu, w otoczeniu powolnych im tubylców, trudno im było zwerfikować ten pogląd.

Złota burska wolność stała się świętością i ktokolwiek podejmował próby ucywilizowania wielodzietnych farmerskich rodzin, stawał się ich wrogiem. Próbowali Holendrzy z metropolii, lecz zostali zignorowani. Samozwancze przywileje chcieli ukrócić Brytyjczycy, lecz w odpowiedzi Burowie utworzyli własne republiki – Natalię, Lindenburg, Transwał, Orange i wiele innych, gdzie rządzą się własnymi prawami. Może stąd właśnie van Riebeeck, a nie podejrzany rasowo van der Stel, stał się w końcu ojcem narodu. Niewątpliwie w równym stopniu co pierwszeństwo, pomogło mu to, że był biały.

DOM DLA ZAŚWIATÓW

Zulus Joe podkreślał jednak (podjeżdżaliśmy już wtedy pod jego dom na wzgórzu), że o wszystkim należy mówić w należytej kolejności: zanim van Riebeeck dopłynął do przylądka, na południu Afryki od wieków żyli już Sanowie, Khoikhoi, Bantu, Pedi, Xhosa, Suazi, Sotho, Tswana, Tembo i oczywiście Zulusi. I nie ma znaczenia, że historii tych ludów nie spisywali nadworni historycy – ustne

przekazy ich dziejów opowiadane przez kolejne pokolenia są co najmniej tyle warte, co pisane kroniki. I jest jeszcze coś więcej: poprzez stały kontakt ze zmarłymi przodkami zuluska tradycja otwiera dostęp zarówno do przeszłości, jak i do tego, co szykuje przyszłość. Joe nie miał wątpliwości, że zmarli są wśród nas obecni. Gdyby było inaczej, nie przemawialiby do żywych i nie wpływaliby na ich życie...

Dlatego każda zuluska rodzina, nawet najbiedniejsza, zrobi wszystko, by zapewnić sobie i przodkom godne miejsce do spotkań. Miejscem tym jest *Iqukwane*, okrągła chatka ze stożkowatym dachem pokrytym strzechą. W przeszłości takie *Iqukwane* służyły za dom duchom i żywym. Kiedy jednak biali zabrali się za przesiedlenie czarnych do murzyńskich gett, narzucili im nowocześniejsze konstrukcje. Odtąd krajobraz wypełniły niezliczone budy pokryte falistą blachą, a *Iqukwane* stawia się dziś już tylko duchom. Na co dzień żyją tam w ciszy i spokoju. Tylko czasami, gdy rodzina ma kłopot albo chce poprosić o radę, puka do drzwi Zaświatów.

Rytuał takich spotkań jest sztywny: kobiety na lewo, mężczyźni na prawo, niebieskie świece – dla duchów babek, zielone – dla duchów dziadków, wypowiada się tylko najstarszy mężczyzna... A odpowiedź na pewno przyjdzie: we śnie, głosem nieznanego na ulicy, albo nawet w reklamowym haśle.



FOT. PIOTR PORAWSKI/FOMISTA

JOE W KONTAKCIE

Zulus Joe we własnej osobie. We wnętrzu jednego z *Iqukwane* objaśnia złożony rytuał kontaktu z przodkami.

Jednak Joe ma pewien kłopot z duchami: ma już trzydziestkę na karku i nie chce się żenić, a przodkowie niczego tak bardzo nie pragną, jak zachowania ciągłości rodu. Przy każdym spotkaniu mu to wypominają, a on za każdym razem odmawia. Ożenek to koszt jedenastu krów posagu, a Joe nie ma nawet jednej. Pieniądzy potrzebuje na utrzymanie matki i ojca. Matka jest schorowana, prawie ślepa, prawie głucha. Ledwie się rusza, dzień i noc siedzi w fotelu. Ojciec wygląda, jakby jedną nogą był już w świecie duchów. Gdy

IQUKWANE MUROWANE

Obejście należące do rodziny Joe. Po lewej dom mieszkalny z czterema izbami, kuchnią i bez łazienki. Po prawej dwa solidne *Iqukwane*, które kiedyś budowano z gałęzi.



FOT. PIOTR PORAWSKI/FOMISTA

opada na kanapę w salonie, zamiera na niej bez ruchu i milczy. Wtedy podchodzi Joe i włącza mu stary telewizor. Jeśli widać w nim kolory, to są to jedynie niuanse zieleni i brązu; jeśli słychać głos, to nie przypomina on ludzkiego języka. Tata Joe mógłby tak całą noc, gdyby nie to, że dzienny limit prądu kończy się zwykle wcześniej. Do łóżek idzie się przy świetle latarek.

zawodów i akurat biegła dziewczyna z sąsiedztwa. Helen ma jeszcze wypieki na twarzy i chwali się, że zawsze kibicuje swoim. Tym razem dziewczyna nie zdobyła medalu, ale „to nie był jej dystans” i „będzie jeszcze miała szansę”. – *Ale zapraszam, zapraszam.* – Przegania skaczące psy i wpuszcza nas do środka.

We wnętrzach wiktoriańskiej willi ruch. Helen ma stale pełne ręce roboty i kiedy nie



FOT. POTR PORAWSKI-POWISTA

APTEKA ZULUSA

Sklep z ziołami w Eshowe. Medycyna naturalna ma u Zulusów powszechne zastosowanie, syntetycznych leków używają w ostateczności.

DWA KROKI DO RAJU

Kilkanaście kilometrów od wioski Joe, za wysokim kolczastym płotem, mieszka Helen. Do jej ogrodu wjeżdża się przez zdalnie sterowaną bramę, a następnie toczy po chrzęszczącym żwirze, poprzez gęstwinę różanego gaju. Na podjeździe pod domem jako pierwsza wita nas sowa. Siedzi na konarze gigantycznego klonu, pochyla ku nam swą wielką głowę i mruży ogromne oczy.

Po chwili przez drzwi białego domu wybiega Helen. Żwawa, drobna, uroczą, wita nas wylewnie śpiewnym brytyjskim akcentem. Przeprasza, że kazała czekać, ale leci transmisja

pracuje w polu albo w ogrodzie, zmienia zasłony w salonie. Mężczyzna stoi właśnie na drabinie i przykłada różne fasony, a Helen pyta nas, czy bardziej podobają nam się te w różę czy w słoneczniki. Mówimy, że zważywszy na pejzaż za oknem, lepsze słoneczniki. Są żółte i lepiej zlewają się z zielonymi wzgórzami po horyzont, nie wspominając o pasących się tuż za oknem krowach. À propos krow, dwa dni temu urodził się cielaczek. Helen skarży się, że jak dalej będzie taka susza – a to już drugi rok – to będą musieli zrezygnować z uprawy trzciny cukrowej i zabrać się za hodowlę. Osiemset tysięcy hektarów obsianych trzciną,

a wszystkie okoliczne młyny zamknięte! Trzeba wozic zbiory kilkadziesiąt kilometrów, a to koszt, czas i duży wysiłek...

Wspominamy mimochodem o Joe, mówiąc, że jego rodzina ma dwa hektary obsiane trzciną, ale właśnie od dwóch lat nie ma kto zawieźć zbioru do młyna, bo Joe nie dysponuje transportem. Wcześniej pomagali biali farmerzy, ale od dwóch lat nie mają czasu. Więc wszystko gnije na polu. Za kilkadziesiąt randów zarobionych na trzcinie mogli kiedyś wykupić wyższy abonament na prąd, a teraz nadeszły chude lata. – *No właśnie, przez tę suszę.* – Helen kiwa smutno głową i mówi, że wszyscy w okolicy liczą na mokrą wiosnę. Dodaje, że teraz w okolicznych wioskach i tak mają znacznie lepiej niż kiedyś. Pamięta, jak było dawniej (a minęło trzydzieści lat, odkąd tu osiadła) – kiedyś, gdy patrzyło się wokół po zmroku, było czarno. A teraz doprowadzono prąd i w nocy pełno rozżarzonych punkcików. I ludzie, jeśli nie mają pracy, to dostają rentę. Owszem, słyszała o Siphezi. Pracuje u niej dużo osób z okolicznych wiosek – ogrodnicy, kucharka, sprzątaczką, strażnicy – na pewno ktoś jest z Siphezi. – *A kiedy są żniwa, to zatrudniamy mnóstwo ludzi z okolicy.*

Skoro tak, to pytamy o sierociniec. Joe nas tam zaprowadził pierwszego wieczoru – do centrum swojej wsi, gdzie obok szkoły stoją trzy długie budynki dla dzieci. To synowie i córki rodziców, którzy zmarli na AIDS. Joe zabrał nas tam, bo kiedy przyprowadza białych, dzieci uczą się kilku słów po angielsku. Trzydzieścioro dzieci żyje za kratami sierocińca i chociaż nie jest to różany ogród, przynajmniej przestrzeni mają pod dostatkiem. Rodzinę zastępują im przybrane matki. Joe chce zaadoptować któreś z nich. Uwielbia te dzieci, a przy okazji chce przypodobać się przodkom.

Helen wyjmując z lodówki butelkę białego wina i mówi, że w takim razie musi koniecznie podjechać do Siphezi. Może się na coś przyda ze swoim angielskim, ale przede wszystkim płakać jej się chce, gdy słyszy, że dzieci żyją bez rodziców. – *Tak, trzeba coś z tym zrobić* – mówi. Nalewa nam wino i przeprasza, że musi wracać do pracy: – *Gdybyście mieli ochotę, skorzystajcie z basenu – zachęca. – Jest tam nawet mała trampolina.*



Jubileuszowe
XX Targi

FILM VIDEO FOTO

TARGI SPRZĘTU FOTOGRAFICZNEGO, FILMOWEGO,
AUDIO - VIDEO ORAZ TECHNOLOGII MULTIMEDIALNYCH

6-8.04.2017

al. Politechniki 4
Łódź



Organizator:



KONTAKT:
Kamila Berezinska
Kierownik Projektu

tel. 42 639 90 53, 605 630 853
e-mail: k.berezinska@targi.lodz.pl

Patronat honorowy:



Patronat branżowy:



Patronat medialny:



filmvideofoto.pl

R E K L A M A

WSZYSTKIE NARODY ŚWIATA

W drodze do Johannesburga złapała nas noc. Żadnej miejscowości nie było po drodze, z wyjątkiem Harrismith. To był jeden z ważniejszych ośrodków dawnej afrykańskiej republiki Orange. Gdy zjechaliśmy tam z autostrady, trafiliśmy najpierw na wielką tablicę z napisem: „Kryminalisto, strzeż się! Straż miejska czuwa!”, chwilę potem zaś na drogowy znak: „Pensjonat Serce Afryki, śledź brązowe strzałki”. Trochę błędziliśmy w ciemnościach, zanim dotarliśmy przed wysoki mur z białą furtką. Zadzwoiliśmy i zaraz wyszła do nas właścicielka. Chwilę grzebała w grubym pęku kluczy, w końcu otworzyła jeden zamek, potem drugi i wpuściła nas do środka. Pensjonat był pusty i kobieta z żalem zawiadomiła, że nie będzie kolacji. Poinformowała



FOT. PIOTR PORAYSKI-POMSTA

OGRÓDEK HELEN

Spojrzenie na wzgórze Eshowe z jadalni willi Helen. Za oknem pastwisko dla krów, w dole (niewidoczny na zdjęciu) dam, czyli zbiornik do przechowywania zimą wody, kiedy poziom opadów jest minimalny.



Piotr Porayski-Pomsta

Prozaik, tłumacz, publicysta, podróżnik, maratończyk i cyklista. Uzależniony od języków obcych. Niestrudzony poszukiwacz świętego spokoju, miłośnik dobrej kuchni, książek i głębokiego snu. Ostatnio wydał zbiór odpowiedzi „Wycieczka” (Agawa, 2015). W przygotowaniu zbioru reportaży z podróży po Etiopii.

jednak, że w Harrismith jest wszystko, czego trzeba, wystarczy wsiąść w samochód i podjechać. – *W żadnym razie nie należy iść na piechotę* – przestrzegła, gdy zdradziliśmy zamiar spaceru. *W tym kraju nie chodzi się pieszo po zmroku. A widząc nasze zakłopotanie: – Pić możecie sobie, ile wlezie: gdy słońce idzie spać, to samo robi policja.*

Wsiadliśmy więc w samochód i dość długo błądziliśmy po pustych ulicach Harrismith. Centrum restauracyjne zbudowano wokół stacji benzynowej przy autostradzie. Tętniło tu życie: wszystkie miejsca parkingowe były szczelnie wypełnione przez wielkie terenówki. Co raz wyskakiwali z nich wielcy mężczyźni w towarzystwie wielkich kobiet. Grillhouse też pękał w szwach. Na ścianach migały wesołe ekrany telewizorów, a w kątach poupychano stylowe obrazki. Na większości z nich niewinne pejzaże, ale na jednej rycinie zaprzężone do wołów wozy i napis: „Die Groot Trek”.

Podszedł kelner, przedstawił się jako Prince i powiedział, że będzie nas obsługiwać. Poprosiliśmy o wino. Prince nie był jednak od wina i kazał czekać. Nadbiegła zaraz wysoka blondynka, zaleciła całą butelkę tego a tego, rocznik taki a taki. – *Specjalni goście z za*

mórz – powtarzała, zabierając od Prince’a talerze ze stekami. – *Będę obsługiwać was osobiście.*

Dbiała o nasze pełne kieliszki, a gdy butelka była już niemal pusta, spyaliśmy, co to ten „Groot Trek”. Twarz jej się rozjaśniła. Tłumaczyła, że to ich wielka wędrówka ku wolności, gdy w kraju zaczęli rządzić Anglicy i chcieli narzucić im, Burom, swoje prawa. – *Nie mogliśmy się na to zgodzić i zbuntowaliśmy się.* Burowie masowo porzucali ziemię i wyruszali z dobytkiem w głąb lądu, byle dalej od takiej niesprawiedliwości. – *To myśmy ten kraj urządzili, zaorali ziemię, zasadzili winnice i ogrody, dali ludziom postęp, opiekę i pracę. I za to wszystko, wiecie, Anglicy wywołali wojnę, a nasze rodziny powsadzali do obozów koncentracyjnych...*

– *A teraz?* – pytamy.

– *Teraz się nawet lubimy, ale dziś nie rządzą ani oni, ani my, i wszystko jest inaczej.*

– *Gorzej?*

– *Nie, że od razu gorzej, inaczej... Teraz przyjaźnimy się ze wszystkimi. Wam, ludziom z za mórz, trudno to zrozumieć, ale my naprawdę kochamy nasz kraj i jego ludzi. Wszystkich bez wyjątku. Nie ma takiego drugiego miejsca, gdzie żyłyby w zgodzie wszystkie narody świata!* ○



Ecco Travel
wyższy poziom egzotyki

Katalog 2017
już dostępny!



Chiny ▪ Emiraty Arabskie ▪ Indie ▪ Japonia ▪ USA ▪ Meksyk ▪ Izrael ▪ Sri Lanka ▪ Tajlandia ▪ Wietnam

www.eccotravel.pl

Centrum rezerwacji: **804 289 220**



WIOSNA JURAJSKA

Wiosenna podróż po Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej pozwala zobaczyć tradycyjnie uprawiane małe pola i ruiny średniowiecznych zamków pośród soczystej zieleni. Przyroda budzi się do życia, a podróżujący Szlakiem Orlich Gniazd na początku kwietnia mogą ujrzeć dywany kwiatów w lesie.

Jura ma różne oblicza. Jest uwielbiana przez wspinaczy, rowerzystów czy miłośników wędrówek, ponieważ są tu idealne warunki do wykazania się w tych dziedzinach. To, co wyróżnia ten kawałek śląskiej ziemi od wielu innych tego typu atrakcji na świecie, to bardzo duża powierzchnia, na której znajdują się te cuda. Czerwony szlak z Częstochowy do Krakowa liczy prawie 125 km. Trudno pisać o całej Jurze. Małopolska część bardzo różni się od śląskiej, ale każda z nich ma swoich miłośników i każdy z nich będzie przekonywał o wyższości jednej nad drugą. Skupmy się na malowniczych i mało znanych zakątkach śląskiej części wyżyny.

Czy w Częstochowie można zobaczyć coś ciekawego? Po pierwszym skojarzeniu z Jasną Górą trudno przywołać inne atrakcje. Okazuje się jednak, że to właśnie tu znajduje się perła na skalę europejską – Muzeum Produkcji Zapalek. Niestety, hale są mocno zniszczone, ale mimo wszystko warto zajrzeć tu na chwilę i zobaczyć, jak wielkie maszyny produkowały małe

zapalki. Kolejnym miejscem, które zasługuje na uwagę, jest Muzeum Wyobraźni. To galeria Tomasza Sętowskiego, którego obrazy, rzeźby i inne dzieła znane są na całym świecie. W niepozornym z zewnątrz budynku można podziwiać jego najnowsze prace.

Po wyjeździe z Częstochowy warto odwiedzić Olsztyn. Już daleka widać górujące nad miasteczkiem ruiny zamku. U jego podnóża skosztujemy polskiej kuchni w przeniesionym na to miejsce spichlerzu, który dzięki staraniom właścicieli otrzymał drugie życie. O legendach i historiach zamkowych posłuchamy w położonej tuż przy rynku pracowni Jana Wewióra. Ruchoma szopka z 350 ręcznie wykonanymi figurkami robi wrażenie. Całość znajduje się w ocalonym drewnianym domu, a opowieści pana Jana pozwalają zupełnie inaczej spojrzeć na historię tych terenów. Zwiedzanie pobliskich ruin to uczta dla oczu. Widać stąd Częstochowę, Sokole Góry czy pobliski Mały Częstochowski Giewont. Nazwa „orle gniazdo” nabiera dosłownego znaczenia, bo rzeczywiście





można było stąd obserwować okolice i ze znacznej odległości dostrzec zbliżając się niebezpieczeństwo.

Do Złotego Potoku można dojechać szeroką krajówką, ale lepiej wybrać urokliwe lokalne drogi i pojechać przez Biskupice, Zrębice i Siedlec. W Złotym Potoku trzeba koniecznie przespacerować się aleją klonową. Znajduje się ona naprzeciwko wejścia do zespołu pałacowo-parkowego, gdzie stoi opuszczony pałac Raczyńskich oraz dworek, w którym urządzono wystawę biograficzną poświęconą Zygmunutowi Krasińskiemu. To miejsce o każdej porze roku jest niezwykle.

Dalej, po drodze do Żarek, proponuję na chwilę skręcić w kierunku Niegowej i przejechać malowniczą drogą przez Gorków do Postaszowic. Tu zobaczymy, jak wyglądało tradycyjne rolnictwo na Jurze przez całe dziesięciolecia. Wąskie i długie pola to charakterystyczny widok w tych stronach. Malutkie, stromo położone zagonki, a na nich pracujący ludzie. Tam, gdzie nie dojechał traktor, do pracy wykorzystywano konie. Latem można ujrzeć tradycyjne snopki na polach! Niestety, zarastające ugory to znak czasów. Wsie wyludniają się w ogromnym tempie i niebawem znikną te przepiękne widoki.

Droga powrotna do Złotego Potoku poprowadzi nas przez Rezerwat Parkowe. Tuż obok szosy zobaczymy najstarszą w Europie pstrągarnię. Można tu skosztować ryb na miejscu albo kupić do domu świeże lub wędzone. Jako wielki ich miłośnik muszę też wspomnieć o oddalonym od Złotego Potoku o niespełna 10 km

Sygotce, gdzie w „Smażalni pod lasem” zjadłem chyba najlepszego jesiotra z pieczonymi jabłkami! Miłośnicy zup rybnych skosztują tam gulaszu z sumą lub rosołu z jesiotra, a także pysznego pstrąga.

Żarki mogą przypominać setki innych miasteczek. To jednak tylko złudzenie. Na początek proponuję wizytę w Muzeum Rzemiosł Dawnych w Starym Młynie. Tu poznamy historię Żarek, ale również zobaczymy, jak dawniej pracował bednarz, młynarz i szewc. Wszystko to podane jest niezwykle atrakcyjnie i ciekawie. Stare wnętrza i przedmioty połączone umiejętnie z nowoczesnymi multimediami. Po drodze do centrum mijają się ogromny plac targowy. W okolicach świąt, w soboty, odwiedza go około 8 tys. osób – kupują tam „szydło, mydło i powidło”! Na placu widać przepiękne stare stodoły zbudowane z jurajskiego kamienia. Dalej, za drzwiami z szyldem „Hokus Pokuss” można zobaczyć, jak powstają słodycze. Podczas krótkiej prezentacji obserwuje się wszystkie etapy. Każdy wyprodukuje tu własny lizak. Tylko wyobraźnia ogranicza jego wygląd. Z kolei w pobliskiej pracowni Etno Jura można stworzyć różne postacie z siana, drewna i wikliny. Z pozoru zwykłe miasteczko, a trudno opuścić je po kilku godzinach. Warto skorzystać z kilometrów przygotowanych szlaków pieszych i rowerowych. Nocleg oferują Przystań Leśniów oraz pobliski Dom na Jurze.

Z Żarek koniecznie trzeba pojechać przez Mirów i Bobolice w kierunku Podlesic. Wijące się po rozległych lasach drogi,

malutkie wioski i ogromne przestrzenie – typowy krajobraz jurajski. Okolice Rzędkowic i Podlesic to raj dla wspinaczy skałkowych. W promieniu 20 km od Trafo Base Camp można wspiąć się po trasach liczących prawie 3000 km. Trafo Base Camp to miejsce stworzone przez jednego z wielu zakochanych w Jurze, którzy postanowili tu zamieszkać. Ci, którzy lubią odrobinę luksusu, mogą zatrzymać się w hotelu Poziom 511, przyklejonym do zamku w Ogrodzieńcu. To miejsce, które pozwala odpocząć i nabrać sił przed powrotem do codzienności.

Wyżyna Krakowsko-Częstochowska przed paroma laty była typowo weekendowym miejscem. Dzisiaj okazuje się, że wielu mieszkańców północnej Polski planuje tutaj wakacje. Odkryta na nowo staje się świetną alternatywą dla zatłoczonych plaż i górskich szlaków. Na dzień tego prehistorycznego morza jurajskiego jest wiele niezwykłych miejsc, a znalezione na ziemi amonity okażą się czekającym na nas przez miliony lat śladem przeszłości. Odkrywajmy Jurę! ◉

Mikołaj Gospodarek

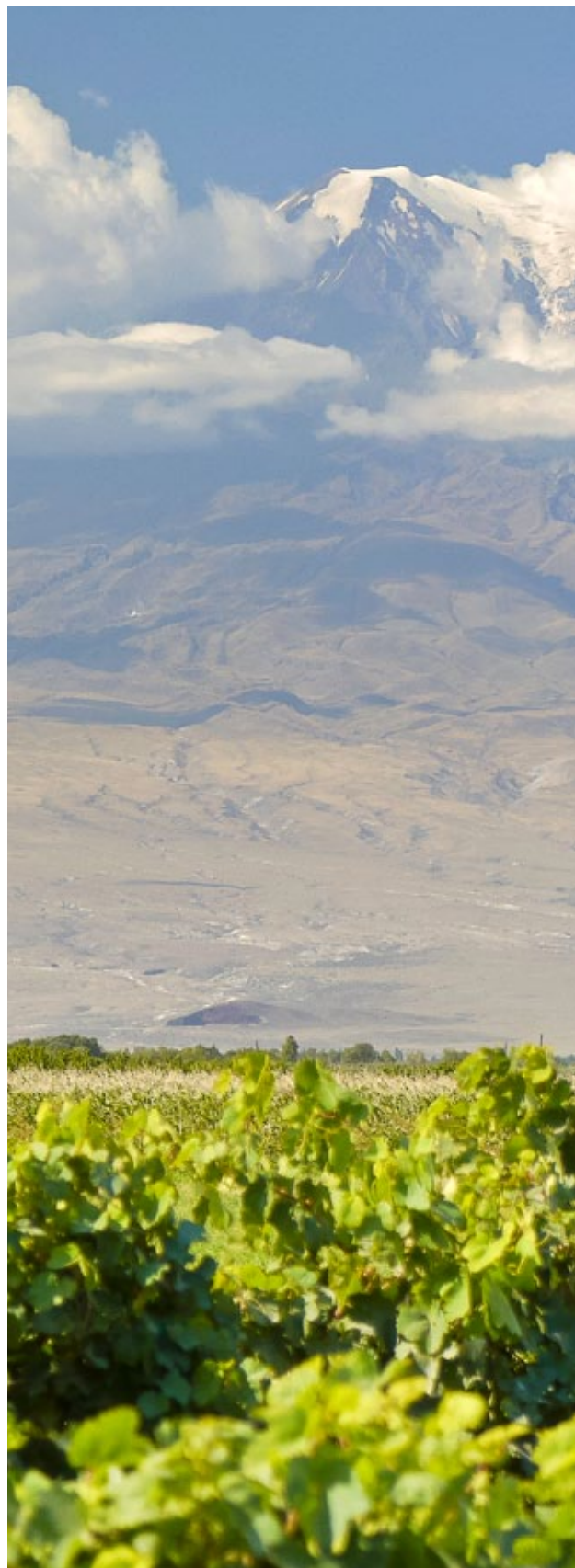
Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi.

Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

NAJSTARSZA WINIARNIA ŚWIATA

Marek Tomaszewski

Jest siostrą Gruzji. Nie jest to jej bliźniaczka, choć wydaje się nie mniej urocza. Z pozoru smutna i zamyślona, po bliższym poznaniu okazuje się równie szalona i radosna. Historia boleśnie ją doświadczyła. Wiele razy okrutnie wykorzystano jej dobre serce, ale nie załamała się ani nie upadła. Armenia trwa na mapie świata i daje mu to, co ma najlepszego.



BLISKA, ALE NIEDOSTĘPNA

Kiedy patrzy się na nią z okolic monasteru Khor Virap, wydaje się na wyciągnięcie ręki. Ale Ararat, święta góra Ormian, znajduje się już na terytorium Turcji. Całkiem ormiańskie są na szczęście winnice, które na nią spoglądają.





FOT. MAREK TOMASZEWSKI

BEKA PO WINIE

Areni to winiarskie centrum Armenii. Przypomina o tym wielka beczka przy wjeździe do samej wioski.

Tutaj od tysiącleci są wytwarzane najlepsze trunki świata. I nie ma w tym krzty przesady. Podobno już biblijny Noe, gdy wody potopu opadły, jako pierwszy zasadził winnicę i zrobił pierwsze wino. Zgodnie z przekazem Księgi Rodzaju arka osiadła na górach Araratu, które później przez wieki znajdowały się w historycznych granicach Armenii. Obecnie zarówno Wielki, jak i Mały Ararat znajdują się na terytorium Turcji. Tuż przy granicy, w okolicach klasztoru Khor Virap, rozciągają się hektary winnic. Widok to isticie mistyczny.

Gdy patrzy się na winogrona dojrzewające w słońcu Kotliny Ararackiej, na tle wiecznie ośnieżonego wygasłego wulkanu i średnio-wiecznego monasteru wybudowanego z pomarańczowego tufu, przychodzi na myśl Noe, który może właśnie tutaj zbierał swoje plony. Wino wytworzone w takim krajobrazie musi smakować niezmiernie.

TE WINOGRONA MAJĄ 6000 LAT!

Można nie wierzyć przekazom Starego Testamentu, ale niedawne odkrycia archeologiczne przekonują, że kolebka winiarstwa znajduje się właśnie w Armenii. Na wschód od wioski Areni, w prowincji Wajots Dzor, tuż nad rzeką Arpa wznosi się wapienne wzgórze. Miejscowej ludności od wieków była znana trzykomorowa Jaskinia Ptasia, jedna z setek rozsianych w tej okolicy. Nikt nie przypuszczał, jaką tajemnicę skrywa i jakie rewelacje leżą tu pod niewielką warstwą gruntu.

W latach 2007–2012 grupa armeńskich i irlandzkich naukowców natrafiła podczas wykopalisk na fragmenty glinianych naczyń. Okazało się, że są to pozostałości kompletnej linii produkcyjnej do wyrobu wina. Odkryto prymitywną prasę do wyciskania soku poprzez deptanie owoców, kadzie fermentacyjne, do których ściekał moszcz, amfory, dzbany i kubki z zaschniętymi resztkami wina,

a także pestki i skórki winogron, doskonale zachowane pod warstwą zwierzęcych odchodów. Konserwacji resztek sprzyjały chłodne i suche warunki panujące w jaskini. Wyniki badań przeszły najśmielsze oczekiwania, okazało się bowiem, że winiarnia liczy sobie... ponad 6 tys. lat i bije na głowę wszystkie dotychczas znane obiekty tego typu w Gruzji czy Iranie. W ten sposób odkryto najstarszą winiarnię na świecie. (Przy okazji natrafiono na skórzany but liczący sobie, bagatela, 5,5 tys. lat – także najstarszy tego typu obiekt na świecie, który można obejrzeć w Muzeum Historii Armenii w Erywaniu).

Znalezione w jaskini pestki winogron poddano dalszej ekspertyzie i stwierdzono, że pochodzą one ze szczepu, który jest nadal uprawiany w Armenii. Mowa o szczepie areni, który jest „superbabcią” setek znanych obecnie odmian winorośli. Uprawiany jest on oczywiście w winnicach wokół wspomnianej już wioski o tej samej nazwie. Warunki są idealne i nie bez przesady uważa się, że to właśnie tutaj powstają najlepsze w całej Armenii wina. „Armeńskie wina zawierają w sobie wszystko to, co można odczuwać, a czego nie można wyrazić słowami” – tak mówił Charles Aznavour, o którym mało kto wie, że jest z pochodzenia Ormianinem.

W Areni niemal w każdym domu produkuje się wino, które jest potem sprzedawane na straganach ciągnących się wzdłuż głównej drogi prowadzącej z Erywania na wschód kraju, aż do Górskiego Karabachu, oraz na południe, do Iranu. Jeśli ktoś z samochodu zobaczy stragany z plastikowymi butelkami po znanym amerykańskim napoju, wypełnionymi ciemną, czerwoną cieczą, niech go to nie zmyli. Wewnątrz kryje się bowiem skarb Areni – wino. A patent z butelkami po napojach powstał z myślą o kierowcach irańskich ciężarówek – islam zabrania przecież spożywania alkoholu i do Iranu wwozić go nie wolno.

Raz w roku, w październiku, odbywa się w Areni święto wina, podczas którego można bliżej zapoznać się z lokalnymi trunkami. To nie są tylko wina, ale także rewelacyjne owocowe destylaty, wśród których prym wiodą: słynna *tutorwa* z morwy, *kizil* z derenia, a także wódki z moreli, brzoskwiń, winogron oraz domowe koniaki.



FOT. MAREK TOMASZEWSKI

GRANATY Z GÓRSKIEGO KARABACHU

W samej Areni warto odwiedzić także kościół Matki Bożej (Surp Astwacacin) z XIV w., który jest dziełem słynnego średniowiecznego architekta Momika. O tym, jak dawne są tutaj tradycje winiarskie, świadczy fakt, że na starym cmentarzu usytuowanym wokół tego kościoła

TAJEMNICA JASKINI PTASIEJ

Kilka lat temu odkryto w niej najstarszą na świecie, kompletną linię do produkcji wina, liczącą 6 tys. lat.



Z WINEM AŻ PO GRÓB

Wino towarzyszy Ormianom przy każdej możliwej okazji. Nawet na nagrobkach można znaleźć symbole z nim związane.

FOT. MAREK TOMASZEWSKI



FOT. MAREK TOMASZEWSKI

PUSTA CZY PEŁNA?

Każda głowa państwa, która zdecyduje się odwiedzić fabrykę ArArAt, otrzymuje w podarku beczkę wypełnioną świętą brandy. Skorzystał z tego, a jakże, Mr. Alexander Kvashnevsky.

są nagrobki, które przedstawiają sceny związane z produkcją trunku. Winne grona można też zobaczyć na fasadach monastyrów, a także na chaczkarach, czyli kamiennych płytach wotywnych – jednym z symboli Armenii.

W Armenii wino produkuje się nie tylko z winogron. Wyjątkowe, bo powstające w zasadzie tylko tutaj, jest wino z owoców granatu.

Choć największe jego uprawy na świecie znajdują się w Iranie, to Armenia uznała go, obok moreli, za owoc narodowy. Zaraz po Araracie to chyba najczęstszy w tym kraju motyw zdobniczy. Nawet na XIII-wiecznej płaskorzeźbie wykutej przez Momika nad wejściem do monastynu Noravank Matka Boska siedzi na dywanie, którego frędzle mają kształt granatu. Owoce te są w Armenii uważane za symbol życia, płodności i zdrowia, a sami Ormianie mówią o sobie, że są jak granat z pękniętą łupiną, z którego pestki rozsypały się po całym świecie. Zamieszczone w domu, mają przynieść szczęście i pomyślność, odstraszać wszelkie złe moce, choć wiele wskazuje na to, że biblijna Ewa skusiła Adama wcale nie jabłkiem, ale właśnie owocem granatu.

- *Po granaty jeżdżę do Górskiego Karabachu* – mówi Davit, u którego nocujemy. Prowadzi on niewielki hotel typu *bed & breakfast* w Areni. Choć słowo „granat” w naszym języku brzmi w tym kontekście nieco dwuznacznie, bo Armenia i Azerbejdżan od lat toczą krwawe walki o ten skrawek ziemi, nasz gospodarz nie prowadzi wcale handlu bronią. Podczas kolacji zostajemy poczęstowani wytworzonym przez niego winem z najlepszych karabaskich granatów. Jego trunek jest prawdziwym dziełem sztuki – aromatyczny, rześki, z idealnym balansem między kwasowością, charakterystyczną dla tych owoców, a słodczą. Davit to prawdziwy winiarski artysta.



FOT. MAREK TOMASZEWSKI

MATKA BOSKA POGRANICZA

Wprawne oko zauważy, że Matka Boska na portalu kościoła Noravank ma mongolskie rysy twarzy i siedzi po turecku na perskim dywanie (którego frędzle zdobią ormiańskie granaty). To uchroniło świątynię od zniszczenia przez muzułmańskich najeźdźców.

KONIAK DLA CHURCHILLA

Większość wytwarzanych w Armenii win trafia na rynek rosyjski, są więc mało znane w zachodniej Europie. Trunkiem, który zna niemal cały świat i z którym utożsamia się Armenię, jest natomiast brandy. Tutaj to po prostu koniak, bo mało kto przejmuje się tym, że ta nazwa została zastrzeżona dla jednego tylko rejonu we Francji.

Historia wyrobu brandy sięga 1887 r. i jest związana z Nersesem Tairyanem, kupcem i filantropem, który jako pierwszy rozpoczął produkcję według francuskiej technologii. Zakład powstał w Erywaniu, w budynku po dawnej perskiej twierdzy zniszczonej przez trzęsienie ziemi. Jedenaście lat później prężnie rozwijająca się fabryka została kupiona przez

znaną rosyjską firmę N. L. Szustow i Synowie. W 1902 r. wyprodukowano pierwszą rocznikową brandy – siedmioletnią Otborny, która zdobyła Grand Prix na konkursie w Paryżu. Stała się wówczas rzecz niezwykła. Otóż Francuzi byli pod tak wielkim wrażeniem trunku, że zezwolili przedsiębiorstwu Szustowa nazywać swój produkt koniakiem.

Jak wieść niesie, stosowano wówczas swoisty marketing. Otóż wynajmowano młodych, eleganckich ludzi, mężczyzn i kobiety,

Prawdziwy rozkwit nastąpił jednak w czasach sowieckich, za sprawą geniuszu Markara Sedrakyana. Stworzył on takie gatunki, jak akhtamar, nairi i dvin, które zdobyły szereg medali. Z dziesięcioletnim koniakiem dvin związana jest pewna legenda. Otóż podczas niesławnej konferencji w Jałcie Stalin poczęstował nim Churchilla, któremu dvin tak zasmakował, że odtąd zamawiał rocznie 400 butelek na swój prywatny użytek. Po pewnym czasie zorientował się jednak, że jakość trunku się pogorszyła,



aby w paryskich lokalach zamawiali „koniak Szustowa”, a tym restauratorom, którzy nie mieli go w swoich zapasach, urządzali awantury. Z czasem trunek zyskał popularność w całej zachodniej Europie, a Szustow stał się także oficjalnym dostawcą na dwór cara Mikołaja II.

na co też zwrócił uwagę Stalinowi. Okazało się jednak, że Markar Sedrakyan został... zesłany na Syberię. Podobno osobista interwencja Stalina zwróciła mu wolność.

W 1953 r. produkcja została przeniesiona do nowego budynku i przemianowana na markę Yerevan Brandy ArArAt. W pierwotnym

STACJA – DEGUSTACJA

Każda wycieczka trafia do tej, największej winiarni w Areni. Wizyta zaczyna się od degustacji win i owocowych destylatów, a kończy na solidnych zakupach.



FOT. MAREK TOMASZEWSKI

NIEMINNY KAMUFLAŻ

Armeńskie wino domowej roboty często wypełnia butelki po coca-coli. W ten sposób jest sprzedawane kierowcom irańskich ciężarówek.

budynku powstała zaś firma Yerevan Ararat Brandy-Wine-Vodka Factory, zwana krócej, od nazwy głównej marki firmy – NOY, czyli Noe. Zarówno NOY, jak i ArArAt korzystają obecnie z tej samej bazy starych gronowych destylatów. Obydwa zakłady mają także muzea, które można zwiedzać. Wycieczki są połączone oczywiście z degustacją.

W muzeum NOY wielkie wrażenie robią ogromne beczki z tysiącami litrów starego wina. Mieliśmy nawet okazję spróbować wyjątkowego portwajnu z 1924 r. Zostaliśmy oprowadzeni po magazynach z dojrzewającym koniakiem. Powietrze było tam aż gęste od alkoholu – jego stężenie sięgało 18 proc. i od samego aromatu kręciło się w głowie. Co roku z beczek wyparowuje tu około 5 proc. trunku, co Ormianie komentują, mówiąc, że wypijają go anioły. Z tego właśnie powodu gotowe koniaki nie mogą być zbyt długo przechowywane w beczkach. Moment rozlania

do szkła oznacza koniec dojrzewania koniaku, czyli np. po stu latach dalej będziemy mieć do czynienia z pięcioletnim koniakiem, ale w stuletniej butelce.

ZAMKNIĘTA BECZKA POKOJU

Zakłady NOY i ArArAt dzieli most nad rzeką Hrazdan zwany, nie bez powodu, „pijanym mostem”. Po degustacji w NOY kierujemy się lekkim krokiem do prawdziwej legendy i świętości dla wielu Ormian – fabryki ArArAt. Nawet proces produkcyjny jej koniaku został prawnie uregulowany. Przede wszystkim każdy jego etap, od zbioru winogron po butelkowanie, musi mieć miejsce na terytorium Armenii.

Gronowy spirytus uzyskuje się poprzez dwukrotną destylację parową, a używa się do tego wyłącznie endemicznych, białych odmian winogron pochodzących z Kotliny

Ararackiej, regionu Tavush i Górskiego Karabachu, gdzie są one wystawione na działanie promieni słonecznych przez około 300 dni w roku. Destylat dojrzewa minimum przez trzy lata w beczkach wykonanych z co najmniej siedemdziesięcioletniego kaukaskiego dębu, a do jego rozcieńczenia używana jest tylko woda ze źródła Katnaghbyur.

Zwiedzanie fabryki obejmuje m.in. pomieszczenie, gdzie znajdują się beczki z koniakiem ofiarowane głowom państw. Zobaczyć można np. beczki Lecha Wałęsy i Aleksandra Kwaśniewskiego. Ciekawostką jest tzw. beczka pokoju, która zostanie otwarta dopiero wtedy, gdy ostatecznie zakończy się wojna o Górski Karabach pomiędzy Armenią a Azerbejdżanem. Degustacja obejmuje dwa lub trzy rodzaje koniaku. W rozszerzonej wersji otrzymamy do spróbowania dziesięcioletni akhtamar, dwudziestoletni nairi oraz legendarny dziesięcioletni dvin. Tego ostatniego cechuje bogaty harmonijny smak z nutą suszonych owoców i goździków, podtekstem dębu i czekolady oraz uwodzicielską pikantnością.

Polacy pokochali Gruzję, panującą tam atmosferę gościnności oraz niesamowite krajobrazy. Szkoda, że nie dostrzegają, leżącej za miedzą Armenii, która ma równie ciekawą historię i wcale nie gorsze alkohole, spijane przez same anioły... ○

Tajemnice podziemnej Moskwy
w relacji **MACIEJA JASTRZĘBSKIEGO**
– korespondenta Polskiego Radia!

www.editiopl

editioblack

Patroni medialni:

R E K L A M A



FOT. MAREK TOMASZEWSKI

GRANAT NARODOWY

Nie winogrono, lecz granat jest uznawany za owoc narodowy Armenii. Jest on też symbolem życia, zdrowia i płodności.



Marek Tomaszewski

Z zawodu policjant, z zamiłowania podróżnik. Jego ulubione kierunki wypraw to Bliski Wschód oraz kraje byłego ZSRR. Co roku odwiedza magiczny Lwów, ale serce zgubił w Tbilisi.

Spokojna i burzliwa

Izabela Gartner

Urozmaica krajobraz. Tworzy niebywałe spektakle i dzieła przyrody. Orzeźwia, wzbogaca regionalną gastronomię, zachęca do rekreacji i uprawiania sportu. Łagodzi dolegliwości i poprawia samopoczucie. Zachwyca, zaskakuje i demonstruje swoją siłę. Woda na Ziemi Salzburskiej. Temat rzeka...

Słoneczne popołudnie na salzburskim Starym Mieście. Siedzę w kawiarnianym ogródku i zamawiam podwójne espresso. Kelner, obok filiżanki kawy, stawia przede mną szklankę wody. Kranowej. Taki tu zwyczaj. Woda, zdaniem jednych, ma łagodzić moc czarnego naparu, zdaniem innych – przepłukiwać kubeczki smakowe, abyśmy mogli każdym tykiem kawy delektować się tak, jakby był pierwszy. Dla mnie to w tej chwili bez znaczenia, bo koncentruję się nie tyle na smaku kawy, co... wody. Jest wyborna.

Salzburczycy to prawdziwi szczęściarze. Woda w ich kranach pochodzi ze źródeł góry Untersberg, 10 km na południe od miasta. Jest nasycona minerałami i nie wymaga uzdatniania. W smaku prześciga niejedną renomowaną wodę mineralną. Karl-Markus Gauß, austriacki pisarz, nazwał ją „szampanem wśród kranówek”. Obserwuję turystów, którzy znużeni upałem nachylają się nad studzienkami z wodą pitną, uzupełniają butelki i przemywają twarze. Takich studzienek jest w mieście wiele.

W REPREZENTACYJNEJ OPRAWIE

Jakość wody z Untersbergu odkryli już w XVI w. salzburscy książęta arcybiskupi. Każdego ranka z ich rezydencji wyruszała do źródeł grupa jeźdźców, by przywieźć świeżej wody. Była ona

rarytatem zarezerwowanym dla elit, zwykli mieszkańcy mogli o niej jedynie pomarzyć.

Nie tylko gasiła pragnienie, ale także dostarczała arcybiskupom wrażeń estetycznych. Świadczą o tym barokowe fontanny, które do dziś zdobią place Starego Miasta. Najbardziej okazałą z nich arcybiskup mógł podziwiać z okien swojej rezydencji. Ze skały pośrodku wielkiego basenu wyskakują morskie rumaki, trzej atleci uginają się pod ciężarem misy, z której spływa kaskada wody, a trzy delfiny podpierają ogonami muszlę, na której siedzi mitologiczny tryton. To dzieło, które nie powstydziliby się porównania z fontannami znakomitych włoskich artystów. Podobnie reprezentacyjne są inne fontanny w mieście, z dwoma wodopojami końskimi na czele.

WODNE IGRASZKI

Rozrywkowe walory wody wykorzystał 400 lat temu Marcus Sitticus, który wybudował na obrzeżach miasta letni pałacyk Hellbrunn z ogrodami wodnych uciech. Po polowaniach arcybiskup zapraszał swoich gości na ucztę pod chmurką, a kiedy towarzystwo, rozochoczone nadmiarem alkoholu, zaczynało zachowywać się nieodpowiednio, dawał znak swoim sługom, by uruchomili ukryte wodotryski. Jakież musiało być zdumienie biesiadników, kiedy z kamiennych siedzisk tryskała



nagle lodowata woda. Gościom nie wolno było poderwać się do góry, protokół dworski nakazywał bowiem pozostanie przy stole, dopóki gospodarz nie dał znaku do powstania. A to mogło trochę potrwać, ponieważ stółek zajmowany przez arcybiskupa jako jedyny pozostawał suchy. Dzisiaj woda w Hellbrunn nadal tryska z tych samych miejsc co kiedyś, teraz jednak ku ucieście turystów. Napędza teatr mechaniczny, wprawia w ruch miechy organów, podrzuca do góry miedzianą koronę, ale przede wszystkim orzeźwia i rozpogadza ducha. Aż dziw, że inicjator tych wodnych igraszek zmarł, jak diagnozowali nadworni medycy, ze „smutku i melancholii”.

DZIKA I OKIEŁZNANA

Nie tylko Salzburg, ale także Ziemia Salzburska jest krainą niezwykłych wód. Jej krajobraz wzbogacają huczące wodospady i nieprzystępne skalne wąwozy, rwące rzeki i spokojne jeziora. Wodospady w Krimml zaliczają się do najwyższych w Europie. Potężne masy wody spadają tu z 380 m wysokości trzema widowiskowymi kaskadami. O niebywałej sile wody świadczą liczne skalne wąwozy, z których wyróżnia się Liechtensteinklamm. Jego wąskie gardło dostępne jest dla turystów dzięki wybitym w skale tunelom, podwieszonym chodnikom i drewnianym pomostom. Sięgające 300 m wysokości ściany

i pojawiające się co chwila tęcze robią niebywałe wrażenie. Wysoko ponad miasteczkiem Werfen leżą największe jaskinie lodowe na świecie. W ich labiryncie, halach i komorach woda zamarła i utworzyła osobliwą szatę naciekową: potężne ściany, ażurowe welony, kolumny i inne formacje lodowe, udostępnione do zwiedzania.

WODA Z NIEBA

Kończąc kawę i czuję mocniejszy powiew wiatru. Tryton na fontannie niezmordowanie dmie w muszlę, a strumień wody opada na jego plecy. Salzburchy uważają, że ta mitologiczna istota przepowiada im pogodę. Jeśli tryton myje sobie twarz – będzie słońce, jeśli polewa sobie plecy – zanoszą się na deszcz. Już po chwili czuję pierwsze krople. Swoją deszcz salzburchy nazywają „sznureczkowym”, bo drobne, gęste kropelki układają się w ukośne niteczki. Był natchnieniem poetów i kompozytorów. Spaceruję w deszczu ulicą Getreidegasse. Wśród zabytkowych kamienic ze starymi portalami i szyldami płynie morze kolorowych parasolek. Dziesięć kilometrów dalej deszcz wsiąka w górę Untersberg, aby potem cierpliwie torować sobie drogę przez skałę i nasycać minerałami. Za kilka lat wytryśnię z „książęcych źródeł”, pokona wodociągiem drogę do miasta, i kto wie, być może kelner w mojej ulubionej kawiarni poda mi ją do kawy.

Sandomierz to wspaniałe miasto o wielowiekowej historii i tradycji, położone w dolinie Wisły. Ten tysiącletni gród, nazywany Małym Rzymem, jest usytuowany na malowniczych wzgórzach przecinanych lessowymi wąwozami.

Marek Sudół

MAŁY RZYM I OKOLICE

Autor dorastał w okolicach Sandomierza i wydawało mu się, że zna je doskonale. Kiedy rozpoczął przygodę z lataniem, odkrył zupełnie inną perspektywę. Latanie stało się spełnieniem jego marzeń i dało możliwość wykonania zdjęć, które znalazły się w albumie „Sandomierz i okolice w fotografii lotniczej”.

W położonym 30 km na zachód od Sandomierza Klimontowie znajduje się jedna z wybitniejszych XVII-wiecznych budowli w Polsce – barokowa kolegiata św. Józefa.



Ujście Sanu do Wisły pod Sandomierzem.
Widok od północy.

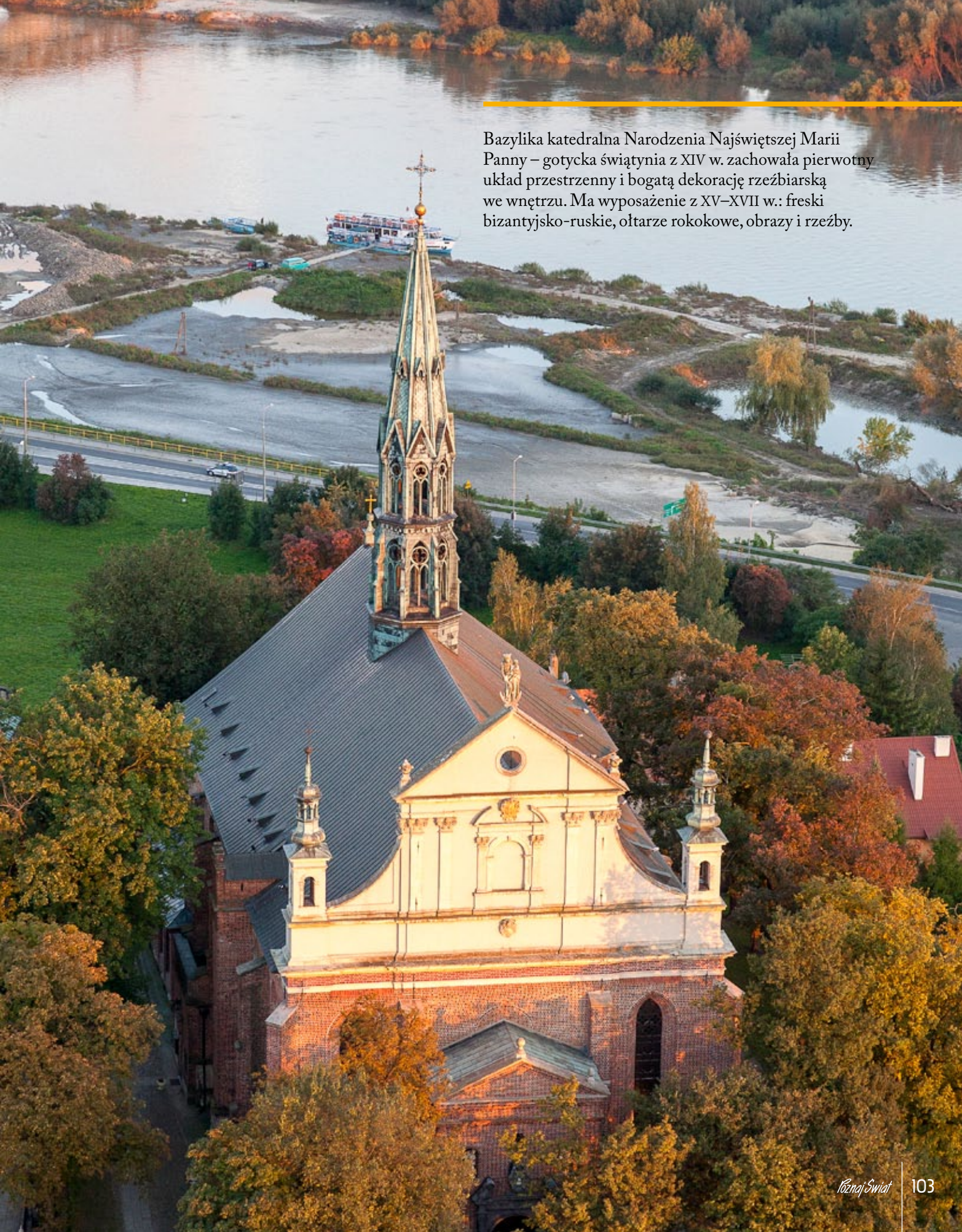


Zamek Krzyżtopór w Ujeździe. Wzniesiony w XVII w. w stylu *palazzo in fortezza* (pałac o cechach obronnych). Zbudowany jest na nietypowym planie pięcioboku. Jest zabytkiem klasy międzynarodowej, wyjątkowym, chociaż mocno zniszczonym.





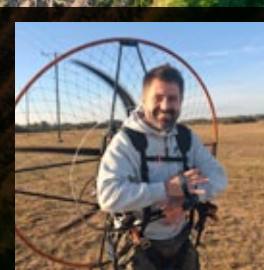
Na sandomierskim rynku króluje ratusz z XIV w. Budowla w kształcie wieży została rozbudowana w XV w. W kolejnym wieku nadano jej formy renesansowe. Ratusz kilkakrotnie ulegał pożarom. Na uwagę zasługuje zegar słoneczny na południowej elewacji, odtworzony w 1958 r.



Bazylika katedralna Narodzenia Najświętszej Marii Panny – gotycka świątynia z XIV w. zachowała pierwotny układ przestrzenny i bogatą dekorację rzeźbiarską we wnętrzu. Ma wyposażenie z XV–XVII w.: freski bizantyjsko-ruskie, ołtarze rokokowe, obrazy i rzeźby.

Zawichost w porannych mgłach. Widoczna przeprawa promowa na Wiśle. Miasto jest położone na wysokim, pofałdowanym terenie lewego brzegu rzeki. Zawichost jest zaliczany do grona jednego ze starszych miast w Ziemi Sandomierskiej, a nawet w Polsce. Jest tu wiele miejsc z bogatą historią.

Jesienne dymy na polach w okolicach Sulisławic. To jedna z najstarszych wsi w Sandomierskiem (być może powstała już w XI w.) Znajduje się tu Sanktuarium Matki Bożej Bolesnej Misericordia Domini, miejsce lokalnych pielgrzymek.



Marek Sudół

Ukończył Akademię Filmu i Telewizji w Warszawie. Pasjonat lotnictwa, dronów, pilot paralotni. Związany z branżą reklamową i poligrafią, fotograf, operator kamery, montażysta.

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu,

podobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Potaje to mniej lub bardziej płynne danie jednogarnkowe serwowane w praktycznie każdym regionie Hiszpanii. Potrawka występuje w wielu odmianach, a niektóre z nich przygotowywane są głównie w okresie świąt, jak wielkopostne *Potaje de vigilia*. Tradycyjnym w całej Hiszpanii daniem wielkopiątkowym jest gęsta zupa, której skład zmienia się w zależności od regionu, lecz niemal we wszystkich można znaleźć ciecierzycę oraz solonego bądź wędzonego dorsza. Ta ryba jest podstawowym składnikiem potraw przygotowywanych w Wielkim Tygodniu w Hiszpanii.



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



🕒 30 MINUT 🍴 4 OSOBY

POTAJE DE VIGILIA

przepis nadesłała:
Pani Anna
z Gdańska

📦 SKŁADNIKI:

- 400–500 g ugotowanej ciecierzycy
- 250–300 g dorsza (moczyć 24 godziny, parę razy zmienić wodę)
- 250 g szpinaku
- 1 łyżka wędzonej papryki w proszku
- 1 łyżeczka kuminu
- 1 cebula
- 2 ząbki czosnku
- 2 kromki chleba
- 2 jajka ugotowane na twardo
- 2 liście laurowe
- oliwa z oliwek

📦 Na oliwie podgrzanej w garnku podsmażyć drobno pokrojoną cebulę i czosnek, następnie dodać szpinak, a gdy zwiędnie – ciecierzycę. Gotować przez 2–3 minuty. Dorzucić pokrojonego w kawałki dorsza, posypać papryką i kuminem, dokładnie wymieszać i smażyć przez kilka minut. Zalać wszystko wodą, dodać liść laurowy i dusić przez ok. 15 minut. Chleb podsmażyć, rozdrobnić i zblendować wraz z żółtkami i kilkoma łyżkami wody. Gotową masę dodać do zupy i gotować przez 5 minut. Danie podawać na gorąco, okraszone białkiem pokrojonym w kostkę.

Nadchodzi wiosna

Gdy mijają przymrozki i wysychają leśne ścieżki, wszyscy rowerzyści na dobre rozpoczynają sezon. Warto spróbować kolarstwa enduro i all mountains. Eksploracja nowych tras i pokonywanie ścieżek wcześniej dostępnych tylko dla pieszych to wspaniała przygoda. Trzeba się jednak do niej odpowiednio przygotować.

NA GÓRSKIE WYPRAWY FUJI AURIC 27.5, 3.3

Eksploracja górskich szlaków wymaga nie tylko umiejętności, ale i odpowiedniego sprzętu. Model Auric jest wyposażony w koła o średnicy 27,5", które wypierają w tym segmencie rowerów koła 26". Hydroformowalna rama o skoku 160 mm i amortyzacja Fox zapewnią pełną kontrolę podczas zjazdów. Napęd i hamulce są grupy Shimano XT. Z kolei kierownica, mostek czy siodełko to sprawdzony Oval Concepts. Całość tej endurówki dopełniają koła Dt Swiss M1900 i opony Schwalbe Nobby Nic 2,35".



Cena: ok. 17 400 zł
www.fujibikes.com



NIEZAWODNE ENDURA HUMMVEE II

Niezwykle popularny model Hummvee w nowej odsłonie. Użyto materiału mini-ripstop opartego na włóknach nylonu z wykończeniem DWR. W komplecie wewnętrzne spodenki z wkładką 200 Series wpinane w systemie Clickfast™. Spodnie mają rozpinane panele wentylacyjne na udach z wewnętrzną siateczką, zapinane kieszenie boczne, kieszenie cargo oraz duże kieszenie na mapy z tyłu. W kroku mają trwały panel bez szwów. Na lędźwiach elastyczny panel oraz ściągacz w pasie z regulowanym paskiem.

Cena: ok. 270-300 zł
www.Endurasport.com



SUPERNOWOCZESNY SUUNTO SPARTAN SPORT

To zaawansowany zegarek multisportowy GPS. Wyposażony jest w płaską kopertę, stalowe obramowanie, kryształowe szkło mineralne, kolorowy ekran dotykowy, kompas i baterię o żywotności 16 godzin w trybie treningowym. Suunto Spartan Sport obsługuje ponad 80 dyscyplin sportowych. Jest kompatybilny z czujnikiem rowerowym Suunto Bike Sensor i miernikami mocy BLE.

Cena: ok. 2360 zł
www.suunto.com

DLA BEZPIECZEŃSTWA BONTRAGER FLARE R

Każda przejażdżka będzie bezpieczniejsza dzięki pierwszej lampce stworzonej z myślą o widoczności w dzień. Zbilansowana optyka Flare R w połączeniu z mocną diodą Cree zapewnia widoczność z odległości ponad 2 km w dzień i w nocy dzięki 65 lumenom i widoczności w zakresie 270 stopni. Ładowana przez USB.



Cena: ok. 260 zł
www.trekbikes.com/pl

PRZEMYŚLANA I FUNKCJONALNA KONSTRUKCJA QUECHUA EASYFIT 50L

Lekki plecak na kilkudniowe wędrowki ze średnim obciążeniem. System EasyFit umożliwia wyregulowanie plecaka na sobie. Do dyspozycji są 3 kieszenie zewnętrzne (2 na bokach i 1 na górnej klapie), kieszeń we wnętrzu klapy oraz w pasie biodrowym. Dzięki dostępowi do dna plecaka można tam włożyć lekkie rzeczy, do których w razie potrzeby szybko sięgniemy. Obustronny zamek błyskawiczny poprowadzono przez całą długość (od frontu). Dostępne są także uchwyty na kijki trekkingowe i czepek. Waga: 1,75 kg. 10 lat gwarancji.



Cena: ok. 350 zł
www.decathlon.pl



Cena: ok. 890 zł
bikecod.pl

ŚWIETNA WENTYLACJA RH+ Z ALPHA MIPS SHINY BLACK

Aerodynamiczny kask wentylowany najnowszej generacji. Zaawansowane projektowanie RH+ rozwija koncepcję aerodynamiki i wynosi go na zupełnie nowy poziom. Kask jest wyposażony w system MIPS, który chroni mózg przed obrażeniami. Polega to na oddzieleniu wewnętrznej ściółki warstwą umieszczoną na elastycznych zaczepach. Dzięki temu na głowę działają zdecydowanie mniejsze siły w razie upadku.



Cena: ok. 90 zł
www.varta-consumer.pl

JAKOŚĆ W DOBREJ CENIE VARTA OUTDOOR SPORTS 2x1 W

Ta latarka to idealny wybór dla miłośników aktywnego spędzania wolnego czasu. Wyposażona została w dwie diody LED Cree o mocy 1 W oraz jedną czerwoną diodę LED, która ułatwia widzenie w ciemności. Ma 4 tryby świecenia: punktowe, rozproszone, czerwone światło LED oraz stroboskop. Główna jest uchylna, co w połączeniu z regulacją natężenia światła pozwala doskonale dopasować urządzenie do warunków otoczenia. Latarka jest wodoodporna (IPX4) i odporna na upadki z wysokości 2 m. Maksymalna moc świetlna to 120 lumenów przy zasięgu wiązki do 78 m.

Cena: ok. 5300 zł
(wersja pojedyncza)
www.thule.com/pl-pl/pl



NIEZWYKLE ODPORNA BLACK DIAMOND LIQUID POINT SHELL

To gwarancja najlepszej ochrony przed wiatrem i deszczem podczas aktywności na świeżym powietrzu. Atutem modelu jest połączenie bardzo niskiej wagi (425 g) z niesamowitą wytrzymałością na zniszczenia dzięki zastosowaniu materiału GoreTex Paclite. Liquid Point Shell zapewnia bardzo wysoki poziom wodoodporności dzięki technologii Durable Water Repellent. Powłoką został pokryty również zamek główny YKK. Kurtka ma regulowany kaptur dopasowany do kasków, techniczny krój, ergonomicznie wyprofilowane rękawy, łatwo regulowane mankiety oraz wentylację pod pachami.



Cena: ok. 1080 zł
www.cragssport.pl



Cena: ok. 770 zł
www.makanu.pl

DWA W JEDNYM GEARAID

To wysokiej jakości lampa LED połączona z power bankiem. W najjaśniejszym trybie (640 lumenów) świeci 13 godzin, w oszczędnym trybie – do 192 godzin. Można ustawić 3 barwy światła. Potężny akumulator 20 800 mAh umożliwia ładowanie telefonu podczas pracy lampy. Idealna dla fotografów, filmowców, na kemping lub jako awaryjne oświetlenie w domu czy warsztacie. Lampa jest wodoodporna i ma zaprogramowany sygnał SOS.

NISKA CENA I WAGA CROSSO DRY BIG 60L

Sakwy tylne Dry są stworzone do użytku tam, gdzie woda jest dominującym żywiołem. Niestraszne im ulewę ani przeprawy przez rwące potoki. Obustronnie powlekany materiał Securo 680 nie tylko nie przepuszcza wody, ale jej w ogóle nie absorbuje. Panele sakwy są zgrzewane, nie ma szwów, które mogłyby przeciekać. Inne zalety serii Dry to atrakcyjna cena, niska waga (1750 g) i bardzo duża pojemność (60 l). Gwarancja: 24 miesiące.



Cena: ok. 240 zł
www.Crosso.net

UNIWERSALNA THULE CHARIOT SPORT

To wygodna i stylowa przyczepka dla sportowców i ich dzieci. Dostosowana jest do jazdy na rowerze, biegania, spacerowania i biegów narciarskich. Ma wygodnie składane siedzenie z regulowanym oparciem. Innowacyjny system Thule VersaWing umożliwia szybką i prostą adaptację do różnych aktywności. Dla bezpieczeństwa jest wyposażona w ręczny hamulec tarczowy. Kabina Climate Control Cockpit ma wyjmowane okna i regulowaną osłonę przeciwsłoneczną. W komplecie zestaw do holowania przyczepki za rowerem i zestaw spacerowy. Przyczepka jest dostępna w wersji dla 1 lub 2 dzieci, w dwóch wersjach kolorystycznych.



FOT. GRZEGORZ MEDZIŃSKI

QUECHUA FORCLAZ 50 EASYFIT

Już kilkakrotnie testowaliśmy różne plecaki. W końcu na większości wybieżek jest to obowiązkowy element wyposażenia. Tym razem w moje ręce trafił 50-litrowy plecak Forclaz Easyfit marki Quechua, dostępny w sieci sklepów Decathlon. Jak podaje producent,

to lekki plecak na kilkudniowe wędrówki ze średnim obciążeniem. System EasyFit umożliwia wyregulowanie go na sobie.

System nośny, czyli ramiona oraz pas biodrowy i piersiowy, świetnie zdają egzamin. Sprawdziłem to w czasie podejścia na Turbacz. Pas biodrowy jest solidnie wykonany i ma przydatną kieszonkę po prawej stronie (np. na chusteczki, batonika lub inny drobiazgi). Poziom pasa piersiowego można ustawić według własnych potrzeb. Jedyną wadą to brak gwizdka, który można by umieścić właśnie na zapięciu pasa (ze względów bezpieczeństwa gwizdek warto mieć pod ręką).

Plecak mniej więcej w 2/3 głębokości ma wewnętrzną przegrodę zapinaną na zamek. Rozwiązanie to zapewnia przydatny podział przestrzeni. Daje też możliwość dotarcia do rzeczy z dna plecaka od zewnątrz. To idealne miejsce, żeby schować kurtkę czy spodnie przeciwdeszczowe. Na bokach Easyfit ma przydatne kieszenie, nazywane przez niektórych „skrzelowymi” z uwagi na budowę (zamykane na zamek). Pomieszczą butelkę z wodą, termos i kanapki. Poniżej znajdziemy kieszonki z rozciągliwego materiału siateczkowego, w które zmieścimy kolejną butelkę z wodą albo małą ap-

teczkę. Górna klapa również ma kieszenie – zewnętrzną i wewnętrzną – obie zapinane na zamek. To przestrzeń na drobiazgi (rękawice, dokumenty, klucze itp.). Wszystkie zamki są w standardzie YKK, co zapewnia niezawodność działania.



Cena: ok. 350 zł
www.decathlon.pl

FOT. GRZEGORZ MEDZIŃSKI



FOT. GRZEGORZ MEDZIŃSKI

Najważniejsze, a na pewno bardzo przydatne podczas kilkudniowej wędrówki – przód plecaka rozpina się w obu kierunkach. Takie rozwiązanie daje możliwość dostania się do zawartości bez konieczności otwierania górnej klapy. Plecak ma po dwa paski kompresyjne po bokach, które posłużą również do przymocowania kijów trekkingowych lub czekana. Na górnej klapie są ściągacze, pod które można wsadzić nadmiarowe wyposażenie. Spód plecaka jest wykonany z mocniejszego materiału, nawet kilkukrotny kontakt z mokrym śniegiem nie spowodował jego nasiąknięcia. Plecak ma także pokrowiec w jaskrawym, pomarańczowym kolorze (dobrze widocznym w deszczu oraz podczas mgły).

Plecak jest bardzo porządnie wykonany. W mojej ocenie produkt innej marki o podobnej jakości i funkcjonalności kosztowałby przynajmniej 20–30% więcej. Producent nie podaje szczegółowych danych na temat użytych materiałów, jednakże dziesięcioletnia gwarancją potwierdza wytrzymałość tkanin i szwów.

Waga 1,75 kg; wymiary po napętnieniu: wys. 67 x szer. 28 x gł. 26 cm (zmieści się jako bagaż podręczny).

Test: Grzegorz Miedziński



RESPRO® CINQRO™ BLACK

Smog w polskich miastach to od kilku miesięcy gorący temat. Chciałem być na bieżąco i zrobiłem rozeznanie w ofercie masek antysmogowych (w zasadzie antypyłowych, ale sprawa nazewnictwa jest tutaj mało istotna). Gdy rozmawiałem ze znajomymi o maskach, w których uprawiają różne aktywności (np. bieganie, jazda na rowerze), kilkukrotnie przewinęła się nazwa marki Respro. Wybór padł na niezwykle popularny model Cinqro™. Test wykonałem w Parku Śląskim, czyli na granicy Katowic i Chorzowa, w idealnym miejscu do sprawdzenia skuteczności działania w warunkach przekroczonej normy np. pyłu zawieszonego (PM10 PM2,5).

Smog to „mgła” tworzona przez zanieczyszczenia powietrza przy bezwietrznej pogodzie, które z kolei są skutkiem działalności człowieka. Dla outdoorowca, który nie może pozwolić sobie na zamknięcie w domu, maski mogą się okazać idealne. Gdy wykonujemy jakąś aktywność, mamy przyspieszony oddech, pobieramy więcej powietrza, a co za tym idzie – więcej trujących substancji zawartych w smogu.

Cinqro™ jest najnowszą maską w kolekcji marki Respro®. To model przeznaczony dla osób aktywnych. Została stworzona z myślą o entuzjastach sportów uprawianych w warunkach miejskich na wolnym powietrzu. Ja używałem jej podczas jazdy na rowerze oraz biegania.

Maska Cinqro™ została wyposażona w dwa najnowsze zawory Powa™ Elite, pozwalające na zdecydowanie szybszy przepływ powietrza w czasie zwiększonej częstotliwości oddechu, która ma miejsce podczas najcięższych treningów. Dzięki zmniejszeniu oporu przy wdychaniu i wydechu oraz utrzymywaniu mniejszej wilgoci w filtrach, a także poprawieniu filtracji, zawory znacznie

przyczyniają się do zwiększenia wygody i efektywności podczas treningu. Tak twierdzi producent, a ja mogę się pod tym podpisać. Nawet na sztywnych, choć krótkich podjazdach i wyższych obrotach nie miałem większych kłopotów ze złapaniem oddechu.

Każdy zestaw Cinqro™ zawiera dwa filtry: jeden od razu zamontowany do maski, a drugi zapasowy. Pierwszy z nich to filtr Hepa-Type™, który doskonale filtruje wdychane cząstki stałe. Natomiast drugi to filtr kombinacyjny (DACC™ + Hepa-Type™), który oprócz mikropyłków filtruje także związki chemiczne znajdujące się w zanieczyszczonym powietrzu. Obydwa filtry są wymienne, dzięki czemu maska

Cinqro™ znajduje zastosowanie w każdych warunkach, zarówno w miejscach, gdzie występuje mniejsze nasilenie spalin (wtedy należy korzystać z filtra Hepa-Type), jak i w centrum dużych miast (wtedy zalecane jest używanie filtra DACC™).

Maska jest bardzo wygodna, dobrze dopasowuje się do kształtu głowy za sprawą materiału neoprenowego. Wokół konstrukcji umieszczono otwory umożliwiające prawidłowy i szybki przepływ powietrza.

Zapięcie na rzep nie krępuje ruchów, pozwala na szeroki zakres regulacji i dobrze przylega do głowy. Nosek maski jest wykonany z elastycznego materiału, który zachowuje swój kształt i zapewnia szczelne dopasowanie do nasady nosa. Mocowanie zaworu pozwala na jego obrót tak, aby wydychane powietrze nie doprowadzało do powstawania pary na okularach i goglach. Mocowanie filtrów pozwala na ich szybką i bezproblemową wymianę. Sam filtr jest zakrzywiony, niewszyty i zaprojektowany tak, aby doskonale przylegał do maski, a jednocześnie nie krępował ruchów twarzy i ust.

Myślę, że każdy, kto jest narażony na oddziaływanie smogu, powinien zaopatrzyć się w maskę – polecam Respro® Cinqro™.

Test: Grzegorz Miedziński



Cena: ok. 290 zł
respro.com.pl



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE





FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Winda do nieba

Winda zmieniła współczesny świat równie mocno jak samochód czy samolot. Pierwsze dźwigi, które pozwalały na bezpieczny transport ludzi (a nie tylko ciężkich ładunków, jak to miało miejsce już w starożytności) ruszyły pod koniec XIX w. Wszystko za sprawą Amerykanina Elishy Gravesa Otisa, który w 1854 r. wymyślił chwytacz bezpieczeństwa, zatrzymujący windę w razie upadku.

W Polsce pierwszą windę zainstalowano w 1901 r. w warszawskim hotelu Bristol. Następnie urządzenia te pojawiły się w Krakowie i to właśnie tam znajduje się najwięcej w kraju starych dźwigów osobowych. Ponad sto krakowskich wind zainstalowano przed 1945 r. Niektóre z nich to unikatowe zabytki techniki i prawdziwe dzieła sztuki.

Na zdjęciach:

Winda ręczna do przewożenia chorych w Klinice Chirurgii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, 1929 r.

Windy i windziarze w budynku Towarzystwa Ubezpieczeń „Prudential” w Warszawie, 1936 r.

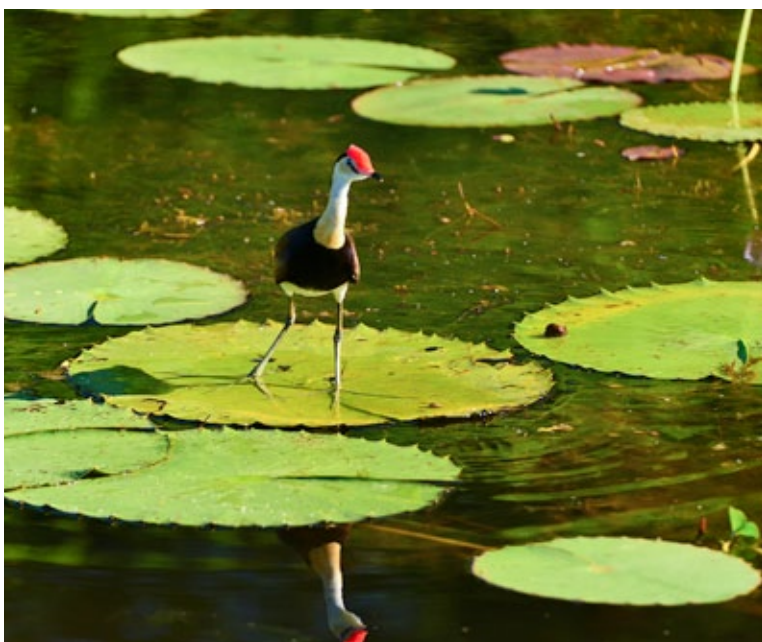
Klatka schodowa i windy osobowe w Pałacu Prasy w Krakowie, 1927 r.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



MADERA – OGRÓD ATLANTYKU



AUSTRALIA – ŚWIAT KAKADU



RAJSKIE PLAŻE KENII

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji
Julia Michalczevska
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Tomasz Owsiany, Magdalena Żelazowska

Grafika & DTP & Prepress
Maciej Jurkowski, Julia Michalczevska

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLWGD

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama
marketing@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

Żegnaj samochodzie



www.berninaexpress.ch

Bernina Express

Z lodowca aż do palm



**Bernina
Express**

Światowe Dziedzictwo UNESCO!



Jedna z najbardziej spektakularnych podróży przez Alpy: Bernina Express, którego trasa biegnie z Chur/Davos/St. Moritz – Valposchiavo – Tirano, łączy różniące się pod względem języka i kultury regiony – wijącą się linią i bez wykorzystywania napędu zębatego. Poczuj atmosferę Włoch w podróży przez malowniczy region Valtellina, nad brzegami Lago di Como, aż do samego miasta Lugano, a wszystko to w nowoczesnym autokarze Bernina Express Bus. Panoramiczna podróż wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO Koleją Retycką to prawdziwa przyjemność.

Więcej informacji: Tel +41 (0)81 288 65 65, railservice@rhb.ch, www.berninaexpress.ch